Niedziela, dnia 19-go Stycznia 1902 roku.



Redakcya i Administracya: Poznań, ulica Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Otwarło się niebo.

Poniedziałkowa mowa kanclerza hr. Bülowa otwarła na rozcież niebo dla hakatystów, więc szaleją z radości na całej linii. Ale jakie niebo? Nie to niebo Boskie, do którego wstęp mają tylko sprawiedliwi, ci, którzy nie godzą na dobro bliźnich, lecz dla wszystkich mają równą miłość i równe współczucie, do którego iść trzeba drogą ciernistą cnoty przez łzy i cierpienia — lecz niebo ziemskie, pełne światowych uciech i rozkoszy. Oto kanclerz zapowiedział, że rząd jeszcze hojniej niż dotychczas, obsypywać będzie złotem Niemców na wschodzie, byle tylko bezwzględniej jeszcze tępili niebezpieczny żywioł polski...

Posypią się tedy marki i talary na wszystkich, którzy o własnych siłach, mimo rzekomej przewagi kulturnej, Polakom podołać nie mogą. Urzędnicy dostaną dodatki do pensyi, kupcy, przemysłowcy i chłopi niemieccy znaczne zapomogi, właściciele ziemscy zapewne bezprocentowe pożyczki i majoraty, miasta biblioteki, muzea, „domy narodowe" i załogi wojskowe. Dzielnice polskie staną się dla nich prawdziwym rajem na ziemi, owym bajecznym „Schlaraffenlandem," w „którym pieczone gołąbki same lecą do gąbki".

Zaprawdę! — warto to dziś być „uczciwym Niemcem" na wschodzie — — „najlepszy to interes" — powiedział by Icek warszawski.

Nowych ustaw *wyjątkowych* przeciwko Polakom rząd na razie sejmowi nie przedłoży, sądzi, że obędzie się bez nich, że do wyparcia Polaków z ich ziemi ojczystej wystarczą te oto *„sprawiedliwe"* środki.

Ten i ów z hakatystów może uczuje żal z tego powodu. Nie będzie oto mógł bardziej jeszcze dokazywać nad Polakami — znęcać się nad nimi. Ogół jednakże pocieszy się zapowiedzią kanclerza, zapowiedzią sum bajońskich, które bez potu i trudu spłyną do kieszeni niemieckich. Co więcej! Wiadomo, że zasada wielu Niemców jest: *„ubi bene ibi patria."* Więc ponieważ odtąd Niemcom u nas powodzić się będzie aż nadto *„bene"* — może znajdą się tysiące kandydatów, którzy zaryzykują: „ucisk ze strony Polaków" — i przybędą hurmem do dzielnic polskich zająć miejsce przy suto zastawionych stołach. Niech tam na zachodzie tysiące robotników mrą z głodu — bez pracy — w dzielnicach polskich rzeki spłyną mlekiem i miodem, tu swobodnie radować się i szaleć można. Niech żyją Polacy za — *taki* „ucisk" niemczyzny. Bądźmy tedy przygotowani na nowy najazd „kulturtraegerów" z zachodu.

My niestety o tych *sprawiedliwych* środkach hr. Bülowa trochę odmienne mamy zdanie. Jakże się one dadzą pogodzić z zasadą *„równe prawo dla wszystkich?"* Polacy przecież płacą te same podatki, co Niemcy, takie same ponoszą ciężary, tak samo muszą służyć wojskowo. Stanowią oni w państwie pruskiem 10% ludności — i w podobnym stosunku zasilają skarb państwowy. A podczas, gdy ze skarbu tego miliony, ba, setki milionów płyną do kieszeni Niemców — Polacy w ten sam sposób fenyga z powrotem nie dostają. Co gorsza za te miliony Niemcy mają jeszcze skuteczniej odbierać chleb Polakom! Ty Polaku pracuj, męcz się, wylewaj pot krwawy; owoc twych zabiegów, twego potu i trudu ma ci zabrać Niemiec.

Czyż nie byłoby słusznem i spra-

wiedliwem wobec tego, aby rząd w zamian za te zapomogi, udzielane Niemcom, zwolnił przynajmniej Polaków od opłacania podatków i służby wojskowej? Jakże to można żądać od nas, abyśmy własnym groszem zasilali tych, którzy mają godzić na nasz byt materyalny? abyśmy sami kręcili bat na naszą skórę?

Nie, panie hrabio! my Polacy środków tych za *sprawiedliwe* uznać nie możemy, my widzimy w nich nowe, najgorszego rodzaju środki wyjątkowe, sprzeciwiające się nawet konstytucyi.

Odpychacie nas od urzędów, zmuszacie wprost szukać sposobu do życia i wyżycia w handlu i przemyśle, a potem nam utrudniacie jeszcze zarobek i dorobek wytwarzaniem sztucznej konkurencyi! Tego nikt w świecie *„sprawiedliwością“* nie nazwie — lecz innem przeciwnem wręcz mianem.

Trudno, nie mamy siły, oby przeszkodzić temu. Nie myślcie atoli, iżbyśmy się zbytnio trwożyli. Czeka nas jeszcze cięższa męka, jeszcze cięższa praca i walka o byt, ale — przy Bożej pomocy *przetrwamy i tę niedolę!* Wy zaś nie spodziewajcie się wielkich sukcesów po tak hojnie wyznaczonych sumach. Spełni się na was przysłowie: *jak nabyte — tak pozbyte*.

Jakżeż to zresztą musi być upokarzające dla Niemców, że byt swój w polskich dzielnicach zawdzięczać będą jedynie *darowiźnie* państwowej, a nie własnej sile, własnej zdolności. O ile wyżej duchowo i kulturalnie my stać musimy, kiedy się nawet nie obawiamy tej okropnej walki, jaką nam naznaczacie.

Radujcie się i weselcie! Im więcej szaleć będziecie, tem rychlej zjawi się gorzki *„Katzenjammer“*, Przyjdzie czas, gdy powiecie sobie: wszystko napróżno, miliony w błoto wrzucone!

My zaś cierpliwie, w pracy i znoju, ale i w spokoju serca czekać będziemy wyroku Bożego na tę *waszą* . . . sprawiedliwość.

My do innego, niż wy dążymy *nieba*.

Vester.

Sprawa polska

w sejmie pruskim.

Berlin, 13 stycznia 1902.

Gorąco dziś było w izbie poselskiej sejmu pruskiego; otwarcie posiedzenia naznaczono na godz. 11 z rana, ale już znacznie wcześniej zbierały się przed nowym gmachem sejmu liczne rzesze ciekawych żądne przysłuchać się „polskiej debacie.“ Odprawiano je wszakże z kwitkiem, bo już na kilka dni przedtem, wszystkie bilety na trybuny publiczne w lot rozchwytano. W gmachu samym, na schodach i krużgankach ruch duży, gorączkowy, na wielu twarzach maluje się niepokój i ciekawość, każdy czuje, że idzie „gorący dzień.“

Godzina 11 i kwadrans; izba poselska niemal w komplecie, u stołu ministeryalnego zasiadają: prezydent ministrów graf Bülow, minister oświaty, dr. Studt, dalej pan von Rheinbaben i inni. Marszałek sejmu pruskiego pan von Kröcher dzwoni i otwiera posiedzenie: Na porządku dziennym mamy dzisiaj dwie interpelacye dotyczące kwestyi polskiej. *Pierwsza* interpelacya posła *Hobrechta* i towarzyszy (nacyonał-liberałów) żądająca od rządu objaśnień, jakiemi będą owe środki zapowiedziane już w mowie od tronu, a mające być użyte ku wzmocnieniu niemczyzny na wschodnich kresach, czyli powiedzmy otwarcie, bez faryzeuszostwa: ku wytępieniu Polaków. — Druga interpelacya posła dra. Jaźdźewskiego i towarzyszy (Polaków, tej treści: Zapytujemy rząd królewski, czy ze względu na znane zajścia w szkole wrzesińskiej i ze względu na dobro publiczne w ogóle, nie uzna za słuszne zmienić rozporządzenia swe dotyczące nauki religii w szkołach ludowych w dzielnicach o różnych narodowościach. —

Już dwie te interpelacye, stawione przez reprezentantów dwóch wprost wrogich sobie stronnictw, mające więc i wprost przeciwny cel na oku, były zapowiedzią walki i znaku, pod jakim walka ta toczyć się będzie: potykać się oto będą ze sobą na arenie walki parlamentarnej dwie narodowości, o których już stare przysłowie nasze mówi, że póki świat światem, jedna drugiej nie będzie bratem...

Na wniosek prezydenta izby toczyć się będą obrady nad obydwiema interpelacyami równocześnie; prezydent ministrów, hrabia Bülow, oświadcza, że gotów zaraz odpowiedzieć na obiedwie interpelacye.

Dla uzasadnienia interpelacyi swej zabiera nasamprzód głos poseł *Hobrecht*. Mowa pana H. była we formie swej dosyć spokojną; żądał jednak bardzo energicznie zapewnienia, że rząd będzie się dalej trzymał wrogiej nam Polakom polityki, mającej na oku wytępienie nas w naszych rodzinnych dzielnicach, żądał dalej wyjaśnień, jakiemi będą owe środki mające przyspieszyć nasze konanie. Mowa cała była co do treści swej nastrojona na jedną nutę, na znane słowa: „Landgraf, bleibe hart.“ Udało się wszakże p. Hobrechtowi powiedzieć kilka rzeczy, które nie wiemy, czy brać za żart z jego strony, czy też za dowód jego ignorancyi i to ingnorancyi na polu .... pruskiej historyi. Może ten pan odkrył nowe historyczne prawdy. Dowiedzieliśmy się bowiem od niego, i to po raz pierwszy w życiu, że *„Prusy powstały na zasadzie jednolitości narodowej.* Ależ p. Hobrecht zdaje się nie wiedzieć, że wprzódy było państewko polityczne zwące się Prusami, zanim byli ludzie zwący się Prusakami,*) że ci dzisiejsi Prusacy zaledwo od lat trzydziestu śpiewają swoje; „Ich bin ein Preusse“ i że założyciele monarchii pruskiej wcale innemi środkami podali poddanym swoim tę pruską świadomość. Jakżeż więc w takim razie można dzisiaj mówić, że „der preussische Statt ist gross geworden als eine nationale einheitliche Macht.“ Do dzisiaj historya zupełnie inaczej nas uczyła; ha, lecz może to jakie nowe wskazówki, nowe objawienie; wątpimy tylko czy *ono znajdzie wiernych.*

Dalej powiedział nam pan H. także rzecz nową: *„Przyszłość niemiecka leży na wschodzie.“* Słowa te nasuwają nam dwie różne refleksye. Niedawno temu z najwyższych ust padły słowa: „Unsere Zukunft liegt auf dem Wasser.“ Jeżeli więc teraz znowu rząd aprobuje oświadczenia, że przyszłość Niemiec leży na wschodzie, moglibyśmy przyjść do wniosku, że przy tej ciągłej chwiejności jego, przy takiem szukaniu po omacku, przyszłość owa istotnie leży na wodzie i że się we wodzie gotowa rozpłynąć... Albo też możemy tak wnioskować: Dzisiejsze Niemcy chcą nietylko wypłynąć na szerokie morze, ale równocześnie rozeprzeć się na wschodzie; ba! patrząc na to jak dzisiaj agitują już w Austryi, można mniemać, że i na tamte kraje bierze je oskoma. Czy tylko tego nie za wiele? czy to nie nad ich siły — ponad ich kieszeń i ponad strawność ich żołądka? Taka polityka zaborcza pochłania ogromne kapitały w każdym razie za duże na państwo, któremu — jak dziś Niemcom — grozi ruina finansowa; zapominają też bodajnie, że i tu i tam są ludzie, którym się ani marzy o przynależności do Rzeszy niemieckiej; ludzie ci zaś mają rogi, a rogi zwykły djablo w gardle stawać....

Głos ma poseł *ks. dr. Jaźdźewski.***)

Z góry możemy powiedzieć, że była to najlepsza mowa, jaką w bieżącej kadencyi i parlamentu i sejmu z łona Koła polskiego wypowiedziano.

Mówca nasz wytrawny parlamentaryusz, miał dziś stanowczo swój *„dobry dzień.“* Mówił niemczyzną tak biegłą,

*) Nie mówimy tu oczywiście o starym słowiańskim szczepie Prusów, Prutenów, którzy stali się ofiarą krzyżackiego miecza i których wymordowano w imię krzyża i wiary Chrystusowej, lecz o Prusakach dzisiejszych, będących sztucznym produktem Hohenzollernów.

**) Mowy posłów naszych zamieścimy w następnym numerze. — Przyp. Redakcyi.

że więcej jeszcze, niż zwykle, Niemców w podziw wprawiał, mówił z wielkim spokojem, z dużą swadą, raz wraz ze szczerym zapałem, *z zapałem, jaki daje jedynie wiara w dobro sprawy*, której się broni.

Mówca scharakteryzował nasamprzód zwięźle a dosadnio zajścia w szkole wrzesińskiej, nazwał je dzikiemi, barbarzyńskiemi, zwrócił uwagę na to, że wzburzyły one cały świat cywilizowany i pod pręgierz stawiły politykę pruską. Ze względu na te zajścia wrzesińskie i na wyrok wydany przez sąd w Gnieźnie, miałby — głosił mówca — istotnie przyczynę „*twarz* sobie ze wstydu zasłonić. ***)"

W dalszym toku mowy swej wykazywał mówca w jak fałszywe położenie rząd polityką swą sam siebie zapędza, dowodził, że rząd wytwarza u nas sytuacye sztuczne, niemożliwe, okropne. Potępiał cały system szkolny i powiedział to trafne, głębokie zdanie: Chcecie niby zakładać u nas szkoły ludowe, ale wypędzacie z nich język, którym lud mówi; szkoła ludowa bez ludowego języka jest w zasadzie swej niemożliwą, jest dziwolągiem (ein Unding).

Dalej protestował mówca energicznie przeciwko całej polityce gwałtu i przemocy, jaką dzisiaj u nas się rządzą, i ze śmiałością, jakiej z dawnaśmy już od posłów naszych żądali, przypomniał im, że jedynie prawem przemocy, gwałtu i zaboru wtargnęli w nie swoje dziedziny, w których im dzisiaj za ciasno. Za to, że mówca stanął w mowie swej na tak zasadniczem stanowisku, za to, że *im* przypomniał, owo bezprawie, będące przyczyną całej kwestyi polskiej, która dzisiaj ich dławi, należy mu się głębokie, szczere uznanie. W końcu żądał mówca, aby do tamtego zasadniczego bezprawia nie dołączali coraz to nowych, które są jakoby tylko dalszem następstwem pierwszego gwałtu dokonanego rozbiorami Polski, lecz ażeby dopuścili nas do pełni praw obywatelskich, jakie nam się z mocy królewskich przysiąg i z mocy konstytucyi należą. — Powtarzamy raz jeszcze, że mowa ks. dr. Jażdżewskiego stała zupełnie na wysokości swego zadania, *że była najlepszą, jaką którykolwiek Polak tej zimy tutaj wygłosił.*

***) Przy tych słowach powołał mówcę przewodniczący do porządku. Nie wiemy, czy szanowny poseł użył tych słów, wiedząc, że powtarza słowa profesora hakatysty z Berlina, które tenże stósował do Polaków. Wdzięczni w każdym razie jesteśmy X. Jażdżewskiemu, że właśnie tych słów użył i nie mniej wdzięczni p. Kröcherowi, że go za te słowa do porządku powołał. Wydał on tem samem wyrok na profesora hakatystę. Jeżeli słów takich nie przystoi używać posłowi, o ileż mniej wolno ich używać profesorowi z katedry.

Głos ma w odpowiedzi na obiedwie interpelacye prezes pruskich ministrów, hr. Bülow. Mówca mówi, jak zwykle, bardzo potoczyście, płynnie, choć organem suchym i bezdźwięcznym. Jeżeliśmy — charakteryzując mowę X. Jażdżewskiego — mogli powiedzieć, że czuć w niej było wiarę w dobro sprawy, której bronił, to nie możemy tego zgoła powiedzieć o mowie Bülowa. Przeciwnie, tam było czuć, że hr. Bülow jest w fałszywem położeniu, że broni sprawy, *która już w założeniu swem jest niesprawiedliwą.* Nasz X. Jażdzewski mówił zawsze jasno, logicznie, bez pustych frazesów, hrabiemu Bülowowi zaś możemy wprost powiedzieć, że mówił nielogicznie, nieściśle i rzucał w okół siebie frazesami, któremi zakrywał brak pojęć. Ah tak: „wo Begriffe fehlen, da stellt das Wort zur rechten Zeit sich ein." Ten stary Goethe jednak bardzo dobrze znał swoich Niemców. Hr. Bülow walczył więc takiemi zblakłemi argumentami jak owa pruska „Staatsraison" i raczył też powiedzieć, że nikt nam Polakom nie broni mówić tak, jakeśmy to z mlekiem matki wyssali (wie uns der Schnabel gewachsen). I my nie mamy nic przeciw temu, że i pan hr. Bülow mówi jak mu „der Schnabel gewachsen"... Pan Bülow mówił dalej rzeczy wprost nielogiczne, jak mu to wykażemy. Chcąc udowodnić, że z zaprowadzeniem nauki religii u nas nie naruszono konstytucyi, oparł się na artykule 24 ustawy pruskiej, który to artykuł brzmi: „Den Religionsunterricht leiten die Religionsgesellschaften." Otóż właśnie z mocy artykułu tego arcybiskupowi naszemu i kapitule przysługuje prawo kierować nauką religii. Tymczasem, co się u nas stało? Bez porozumienia się z arcybiskupem, po za jego plecami, ba, nawet jak to poźniej oświadczył minister Studt, *mimo jego protestu* zaprowadzono w naszych szkołach język niemiecki przy wykładzie religii. A więc pan Bülow powołując się w tym razie na artykuł 24 pruskiej ustawy, strasznie się po prostu *„zasypał."* Dalej pan Bülow uznał okolice nad Wartą i Wisłą za rdzennie niemieckie, z których niemczyzna puściła korzenie. Toż to prawdy historyczne równie nowe jak te, które nam chce wpoić pan Hobrecht.

Toż dziecko każde wie dzisiaj — nie potrzeba poto wcale zaglądać do Tacyta — że kraje między Wartą a Wisłą, są z wiek wieków słowiańskie, a Niemcy siedzieli znacznie więcej na zachodzie, nad Łabą Wezerą i Renem; podobno gdzieś tam w teutoburskim lesie Rzymianom klęskę zadali i dopiero znacznie później do nas przybyli, jak owe robaczki maleńkie, w bajce Niemcewicza: *z kartofla suchego na ser tłusty nalazły*... Pan Bülow *chcąc dalej — zbijając wywody* X. Jażdżewskiego — wykazać dzisiejsze prawo Niemców do naszych polskich krajów oświadczył, że bitwami pod Dennewitz i Waterloo Niemcy wywalczyli sobie te kraje.

Gdzież znajomość historyi? Przypuszczamy, Dennewitz wspomniał pan Bülow dlatego tylko, że tam zdaje się jakiś jego przodek pobił francuzkiego marszałka Ney'a i dla tego miłego rodzinnego wspomnienia dzisiejszy minister pruski zapomina, że pod Dennewitz i Waterloo Prusacy zmywali ze siebie hańbę klęski pod Jeną i zrzucali ze siebie jarzmo Napoleona, pod które kilka lat temu większa połowa Niemiec tak ochoczo poszła (Rheinischer Bund) — prawa do polskich dziedzin, tam Prusacy chyba nie nabyli — — —

Tyle co do znajomości historyi pana Bülowa. W dalszym ciągu swej mowy pan Bülow powiedział te słowa: „In nationalen Dingen verstehe ich keinen Spass" i oświadczył, że dążeniem polityki pruskiej jest stworzyć w państwie swem jednolitą narodowość (*eine einheitliche Nation).* Cieszymy się niewymownie, że pan Bülow tak odkrył przyłbicę i odsłonił ostateczne zamiary pruskiej polityki wobec nas. Wyraźnie więc nam powiedziano, że chcą nas wynarodowić i wytępić, skoro w przyszłości dzisiejsze kraje pruskiej monarchii ma jednolita zamieszkiwać ludność. A więc wiemy teraz o co chodzi — raz nam powiedziano; wszelkie inne zapewnienia, że chcą nam narodowość naszą pozostawić nie zrobią na nas wrażenia.

Tam, gdzie chodzi o narodowość, i *my żartu nie znamy* i możemy zapewnić pruski rząd: *że będzie gryzł w granit, aż sobie zęby wygryzie...*

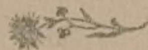
Jakiemi będą te środki, któremi teraz w nas chcą godzić, o tem powiemy obszerniej następnym razem.

Tymczasem konstatujemy, że dzień 13-go stycznia 1902 r. w sejmie pruskim był dniem ogromnie znamiennym — *dla nas powinien on nabrać znaczenia historycznego.*

Powinien nas zagrzać do tem silniejszego odporu nawały germańskiej — a w tej walce o byt nasz i życie narodowe, trzymajmy się jednolitego hasła: *„Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!"*

Tem hasłem silni idziemy naprzód.

Specyalny.



Do ziemian naszych.

Rychlej, niż w innych latach, bo już w ostatnich dniach stycznia odbędzie się w tym roku Walne zebranie Centralnego Towarzystwa

gospodarczego dla W. Ks. Poznańskiego. Za tydzień tedy ujrzymy znowu w grodzie Przemysława kwiat ziemian naszych, usłyszymy mądre rady i wskazówki oraz wytrawne uwagi dotyczące rólnictwa naszego, tej najważniejszej dziś jeszcze gałęzi naszej produkcyi ekonomicznej. Niezadługo zaś, jeźli nie w bezpośredniem połączeniu z tem Walnem zebraniem odbędzie się też zapewne walne zebranie delegatów Kółek włościańskich.

Jest o czem radzić — bo dawno już chyba położenie rólnictwa w naszych dzielnicach nie było tak trudnem, tak opłakanem, tak groźnem, jak w roku bieżącym. Zeszłoroczna klęska, spowodowana mrozami i suszą, a więc klęska elementarna podkopała niejedną egzystencyą zarówno wśród większych jak i mniejszych posiedzicieli naszych, nad niejednym z nich zawisło straszne widmo subhasty i utraty ojcowizny.

A oto w ciężkiej chwili nadchodzą wieści z Berlina, że tam z kasy państwowej mają być znów wyznaczone wielkie sumy na wykupno ziemi polskiej i to nietylko już od panów wielkich włości, lecz także od włościan, kmieci polskich. Zbliży się więc ponownie do wielu z nich kusiciel, z jeszcze ponętniejszemi niż dawniej ofertami, potrząśnie workiem i brzękiem złota starać się będzie zagłuszyć sumienie polskich rólników. Już to Berlin nigdy nieomieszkał skorzystać z każdej niedoli naszej...

Nic więc dziwnego, że społeczeństwo nasze z drzeniem trwogi oczekuje przednówku tegorocznego, ażali nie spadną na nas nowe wieści jobowe o dalszych stratach w ziemi ojczystej. W imieniu tego tylu niepowodzeniami i ciosami skołatanego społeczeństwa, odzywamy się tedy do Ziemian naszych — zarówno większych jak i mniejszych z tą jedną prośbą: *Wytrwajcie!* Wypowiadamy prośbę tę mianowicie w imieniu tych maluczkich, których byt cały zależny jest od utrzymania ziemi w polskiem ręku, a których utrata ziemi naraża na stokroć gorszą od biedy materyalnej nędzę, bo na niewolę uczuć narodowych i sumienia w obec chlebodawców niemieckich.

Zatem: „Wytrwajcie!“ — Łatwo to powiedzieć, ale trudniej wykonać. Minęły czasy, gdy społeczeństwo gorzkiemi wyrzuty obsypywać mogło słusznie stan ziemiański za lekkomyślne trwonienie drogiej po przodkach spuścizny, za życie nad stan, za wywożenie krwawicy polskiego ludu do Homburga i Monaco. Wypadki takie zachodzą i dziś wprawdzie, ale są tak rzadkie, dzięki Bogu, iż tylko za wyjątki uważać je należy, wyjątki, których ustrzedz się nie zdoła żadne, nawet najgospodarniejsze, najmoralniejsze społeczeństwo. Co było niezdrowe i wskutek tego paść musiało, to już padło. Dziś ogromna większość ziemian naszych pojmuje poważnie obowiązki swoje zarówno wobec samych siebie, jak i wobec społeczeństwa i przyszłości naszej. Ci, pozostali po strasznym pogromie, pierwsi dali rodakom przykład wewnętrznego odrodzenia. Walczą, ciężko nieraz, lecz się nie poddają, a chociaż strudzeni walką, zawsze pierwsi stawają na każdym wyłomie i od żadnej nie usuwają się powinności publicznej. Dziś tedy nie można zwracać się z goryczą zarzutów i napomnień, lecz z gorącą, braterską prośbą, z patryotycznem zaklęciem: Zmiłujcie się nad ludem naszym, chociaż to wymaga nadludzkich nieraz wysiłków — wytrwajcie! Ogół wie, że wymaga od was rzeczy wielkiej, ofiar, odmawiania sobie najskromniejszych przyjemności życiowych, krwawego znoju i potu — ale od tych ofiar waszych, od waszego znoju, od waszego poświęcenia zależy przyszłość nasza.

Radźcie tedy, radźcie w imię Boże, w imię tego najpotężniejszego opiekuna naszego, który oby oświecił umysł wasz i poddał wam możliwe a skuteczne drogi i sposoby wybrnięcia z dzisiejszej ciężkiej doli.

Ziemianie niemieccy w stokroć szczęśliwszem znajdują się położeniu, o nich myśli rząd, myślą władze do tego powołane i pełnemi dłońmi sypią im zapomogi i fundusze ratunkowe. Polscy ziemianie skazani są wyłącznie niemal na własne siły.

Na wyższe cła nie ma co liczyć — bo to dopiero muzyka przyszłości. Zanim objawią się ich skutki, jeźli wogóle będą dobre i pomyślne skutki, wielu z naszych może „rosa oczy wyjeść.“ Dla nich trzeba gwałtem innych sposobów ratunku, pomocy *bratniej,* bratnich kapitałów, podniety, otuchy, dobrej rady. Stworzyliście piękną instytucyę wzajemnej pomocy; niechże nie istnieje tylko na papierze — lecz także i w praktyce. Zadanie jej niezmiernie trudne, przyznajemy, ale przy dobrej woli i energii wszystko możliwe. Toć podobno kapitałów nie braknie jeszcze wśród ziemian naszych, nie braknie obcych efektów w żelaznych szafach. Ojcowie wasi, gdy Ojczyzna w ciężkie popadła terminy, zastawiali lub przetapiali na pieniądz najdroższe klejnoty rodzinne i wystawiali za nie pułki zbrojne. Dziś tymi pułkami — to łany świętej ziemi naszej. Im więcej ich stanie wałem przeciwko powodzi germańskiej, tem śmielej i pewniej spoglądać będziemy mogli w przyszłość. A na co z radosną ochotą zdobywali się dzielni ojcowie, czyż to niemiałoby być niemożliwem dla niemniej dzielnych wnuków?

Od was — po dawnej rozrzutności — wyszło pierwsze hasło rozumnej oszczędności. Roił się od ziemian polskich dawniej prastary gród nasz w czasie karnawałowym, a huczne bale i zabawy wzbudzały podziw obcych. Dziś to ustało, dziś obcy przybysze zaczynają się już dziwić reakcyi, jaka nastąpiła po dawnej hulaszczości. Niechże podziwiają waszą zabiegliwość, waszą gospodarność, waszą oszczędność; niechże inne stany i warstwy, do których odezwaliśmy się w przeszłym numerze, dzisiaj uczą się od was, jak szanować grosz ciężko zapracowany, jak nim obracać, aby cały ogół miał z tego pożytek. Stanowicie zawsze jeszcze czoło narodu, dajcie i pod tym względem dobry przy-

kład rodakom. Oszczędność to cnota, która zawsze jeszcze da się spotęgować, w niej zaś zbawienie dla nas! Może być trudną dla wielu z was, którym tradycya przekazała świetność rodową, ale jest jedynym dziś *niezawodnym* środkiem ratunku.

Ręka w rękę z oszczędnością powinna postępować racyonalna gospodarność. I w niej poczyniliście już ogromne postępy ku pożytkowi ogółu i na chwałę ziemian polskich. Lecz i tu niejedno jeszcze da się uogólnić i pomnożyć.

Wytrwajcie! Wytrwajcie przy ziemi polskiej! Dla niej żadna ofiara niech Wam nie będzie zbyt wielką, zbyt trudną — bo oto w ziemi przyszłość nasza. Już i tak utraciliśmy jej za wiele. Pomyślcie tylko, co się z nami stanie, gdy się zamienimy w bezrolny proletaryat. Już ta myśl, ta wprost okropna perspektywa powinna być i dla najsłabszych między wami puklerzem niezłomnym wobec pokus z ręki wrogów naszych. Od was zależy cały byt naszego odłamu narodowego. Pamiętajcie o tem! Nie napróżno najprzód zmobilizowano przeciwko wam największe kapitały; skoro was nie stanie, nieprzyjaciel łatwiejszą będzie miał sprawę.

Przelewaliście krew waszą za wolność narodu, dziś przelewajcie pot wasz; znosiliście chętnie wszelkie trudy obozowe, dziś niech was nie zraża trud gospodarności i oszczędności.

Cały naród, cała Polska spogląda dziś na was! Nie było może jeszcze cięższej chwili dla zaboru naszego, jak obecna. Pokażcie Polsce, że i w takiej chwili może być spokojną o ziemię wielkopolską. Dajcie przykład dobry, zwłaszcza tej młodszej, a pracą i zawodem najbliżej wam pokrewnej rzeszy, naszym włościanom, na których terazkroją i knują plany nasi przeciwnicy. Bądźcie stałymi, aby i oni stałymi byli.

Radźcie tedy, jak i co zrobić, aby Ojczyzna szkody nie poniosła. A przedewszystkiem: wytrwajcie na zagonie ojczystym! Tem zmażecie grzechy przeszłości i wyświadczycie największe dobrodziejstwo Ojczyźnie i społeczeństwu naszemu.

Verus.



„Idźmy do tronu.....“

Bezpośrednio po wyroku gnieźnieńskim, gdy cała Polska zadrgała bólem i oburzeniem, krakowski korespondent „Dziennika Poznańskiego“ rzucił myśl, ażeby ludność polska zaboru pruskiego zwróciła się w jednej ogólnej petycyi wprost do monarchy i u stóp tronu złożyła swe żale i skargi. Przecież to niemożliwe — tak mniej więcej uzasadnił myśl tę korespondent, iżby korona wiedziała, co znosić musi ludność polska i jak boleśnie odczuwa wyrządzane jej krzywdy; należy tedy wyjaśnić to i przedłożyć bezpośrednio najwyższej instancyi, należy zaapelować do ojcowskiego serca monarchy — a zapewne złość wrogich nam żywiołów ukrócona zostanie.

„Dziennik Pozn.“ myśli tej osobno od siebie nie poparł — snać atoli godził się na nią, gdyż odnośny ustęp korespondencyi wydrukował tłustym drukiem. Nas ogarnęło zdziwienie na widok takiej naiwności; z rozmaitych względów wstrzymaliśmy się jednakże wówczas od wypowiedzenia naszego zdania; wierzyliśmy, iż myśl taka nie znajdzie oddźwięku w społeczeństwie, które lepiej zna położenie swoje, niż korespondenci krakowscy i „powaga“ dziennikowa. I wiara ta nas nie zawiodła. Wobec tak strasznego ciosu, jakim była dla nas sprawa wrzesińska, nikt u nas w tym kierunku palca ruszyć nie śmiał.

Dziś wiemy już chyba wszyscy jaką niedorzeczność bylibyśmy przez to popełnili. Odczytana w przeszły czwartek mowa od tronu objaśnia nas jaknajwyraźniej, że wszelkie z naszej strony apele do tronu na nic by się nie zdały.

Położenie nasze wyjaśniło się już dzisiaj zupełnie. Jeszcze przed kilku laty mogły być u nas dwa zdania, dwa poglądy, dwa prądy i *dwie polityki;* nie bez pewnej — chociażby pozornej — racyi mogła się część społeczeństwa łudzić, że hakata, to jeszcze nie rząd, że najwyższa w państwie monarchicznem instancya stoi *ponad* antipolskiemi stronnictwami i że odpowiedniem zachowaniem się można będzie od tej instancyi uzyskać potępienie a co najmniej sparaliżowanie dążności hakaty. Przemawiały za tem — chociaż również tylko pozornie — rozmaite względy i okoliczności. Możliwość taka odbijała się szkodliwie na całem życiu publicznem społeczeństwa naszego, gdyż wnosiła w łono jego rozdwojenie; dzieliła naród na dwa obozy: łudzący się możliwością taką obóz ugodowy czyli „dworski“ — i przeciwny — niczego się już z Berlina nie spodziewający, narodowo-demokratyczny. Dziś, dzięki Bogu — rozdwojenie to ustało, znikło i prysło. Dziś nie ma już między nami nikogo, któryby liczył jeszcze na wpływy dworu, na wyższe instancye, dziś nie może już być u nas dwóch zdań, dwóch obozów, dwóch polityk, lecz *jedna* tylko, zgodna, jednomyślna, polegająca na tem przeświadczeniu, że zbawić nas może jedynie *Bóg i własna siła.* To też ową myśl odwołania się do tronu „Dziennika Poznańskiego“ uważać należy za *ostatni* objaw dawniejszego złudzenia. Ostatnia mowa od tronu — to dobitna odpowiedź na nią.

Opatrzność przedziwnie prostuje nasze drogi i strzeże nas od szkodliwych błąkan i zboczeń. Rychło, w czas jeszcze usuwa wszelkie złudzenia i mamidła, zanim na dotkliwsze narażą nas szkody. Kto wie, jaki rozstrój wewnętrzny panowałby dziś w społeczeństwie naszem, gdyby pewne pozory dłużej były dawały racyą bytu polityce ugodowej. Tak zaś jesteśmy znów zgodni, jednością silni i świadomi zupełnie naszej niedoli, ale zarazem jedynie dla nas otwartej drogi ratunku. To korzyść ogromna, to już połowa wygranej — to ogromne wzmocnienie odpornych sił naszych.

Ironia losu zrządziła, że Berlin sam zniweczył do reszty uczucia, na których mógł jeszcze do pewnego stopnia opierać nadzieję częściowego chociaż powodzenia odwiecznej swej polityki ku wschodowi, a mianowicie i uczucia monarchiczne w ludności polskiej. Nie było może w Europie ludu bardziej monarchicznie usposobionego, jak lud polski. W zaborze pruskim dzieliła go od Niemców wiara, dzieliła go odrębność narodowa, dzieliła go przeszłość cała, w ostatnim zaś czasie urągająca jego uczuciom naganka na Polaków. Jedynym kitem, który go *dawniej* jako tako chociaż spajał z państwem pruskiem, było poczucie monarchiczne ludu polskiego, jego ufność do tronu i korony. Uwydatniło się to jeszcze nawet i w procesie wrzesińskim, w słowach biednej kobiety polskiej z ludu, która uwierzyć nie mogła, iż to monarcha nakazał uczyć religii w obcym języku. Starzy urzędnicy niemieccy w dzielnicach naszych pamiętają jeszcze dobrze, jakie to znaczenie w oczach ludu posiadało każde pojęcie, i każdy wyraz *„królewskości.“* Z lwią odwagą rzucał się żołnierz polski w wojnach r. 1866 i 1870/1 na ziejące śmiercią paszcze dział nieprzyja-

cielskich, nie czasem z poczucia patryotyzmu pruskiego, bo tego lud nasz nigdy nie posiadał, ani nie z nienawiści rasowej do ówczesnych „wrogów“, bo do niej nie miał żadnego powodu, lecz jedynie z tej przyczyny, że tak chciał, tak nakazał król, monarcha. Późniejsze lata, mianowicie walka kulturna i prześladowanie polskości za rządów Bismarcka potężnie już podkopały tę wierność monarchiczną ludu polskiego, lecz tlała ona zawsze chociaż w małej iskierce. Dziś i ta iskierka wygasła; zgasiła ją zupełnie ostatnia mowa od tronu, z której lud się dowiedział, *że korona sankcyonowała prądy antypolskie hakaty*.

Z stanowiska narodowego nie ma powodu gniewać się o to; lud bowiem tem silniej i niepodzielniej przylgnie dziś całą duszą do idei narodowej. Ona odtąd będzie dla niego wszystkiem, obok wiary w Boga i tej idei żadne inne uczucie w sercu ludu panować już nie będzie.

Czy państwo pruskie wyjdzie na tem dobrze, to inna rzecz. Nad tem atoli głowy łamać sobie nie potrzebujemy, to nie nasza troska. Kiedy o to nie dbają w Berlinie, — co nas to obchodzić może? Naszą rzeczą jest czuwać tylko nad tem, aby z tego wytępienia poczucia monarchicznego w ludzie nie skorzystała socyalna demokracya. Bo i pod tym względem jesteśmy innego zdania, niż wielu naszych polityków „wybitnych“. Ci sądzą, że rząd więcej się obawia socyalizmu niż polskości, i że jedynie widmo socyalnej demokracyi w dzielnicach polskich może go powstrzymać od dalszej polityki antipolskiej. Naszem zdaniem mylne to mniemanie. Socyalizm, jak każdy prąd społeczny, to prąd przejściowy, który rychlej czy później zreformować się może tak, że nie będzie zagrażał tronowi, narodowość to rzecz wieczna; wprawdzie nie zagraża wprost idei monarchicznej, ale często idei państwowej. I z tej już racyi rząd wolałby może, ażeby ludność polska przeszła do socyalilizmu, gdyż wtedy opór jej pod względem narodowym byłby słabszy. Z tej samej zaś przyczyny socyalna demokracya jest niebezpieczna dla nas. My więc przedewszystkiem starać się powinniśmy o to, ażeby nie znalazła przystępu do ludu naszego. Osiągnąć to łatwo możemy, a to właśnie ułatwi nam bardzo ostateczne wymrożenie poczucia monarchicznego w ludzie naszym.

Tak tedy ze stanowiska narodowego — ostatnią mowę od tronu powitać można nawet z pewnem zadowoleniem. Znów prysła tama, i to *ostatnia*, która jeszcze — od rozbioru Ojczyzny naszej dzieliła lud nasz od reszty narodu. Że się tak stało, nie nasza wina, lecz wina tych doradzców korony, którzy wpływ mieli na zredagowanie ostatniej mowy od tronu. Dziś po Bogu w sercach ludu naszego panować będzie niepodzielnie: „*Naród*“ — a nigdy już chyba nie odezwie się w zaborze pruskim hasło: „Idźmy do tronu!“ Zawsze bowiem przed oczyma ludu stać będzie mowa od tronu, *sankcyonująca hakatyzm*.

Poznańczyk.



Siódme mocarstwo.

Polska już powstała z grobu i oto stała się od razu — siódmem mocarstwem Europy! To nam obwieściły ostatnie wypadki — wywołane sprawą wrzesińską, a mianowicie tegoroczna pruska mowa od tronu.

Dziwnie się to plecie — na tym Bożym świecie.....

Posłuchajmy oto, co nam powiada ostatni ustęp tej mowy. Brzmi on jak następuje:

„Rząd państwa spełni swe obowiązki, jakie na niego nakłada pielęgnowanie niemieckości na wschodzie i odeprze wrogie dla państwa dążności ze stanowczością i energią, przyczem liczy na skuteczne i nieustraszone współpracownictwo niemieckiej ludności w owych częściach kraju, jak niemniej także na poparcie całego narodu, który pojmuje upośledzenie (Zurückdraengen) niemieckiego języka i niemieckich obyczajów (!!!), jako atak na honor i na godność narodowościową. Rząd liczy na wasze rozumne i patryotyczne poparcie przy rozwiązaniu tych ważnych zadań; oby wspólna praca w bieżącej sesyi wydała błogie dla ojczyzny rezultaty.“

Rozważmy teraz: Rząd pragnie odeprzeć *wrogie* dla państwa dążności Polaków — i odwołuje się przytem do pomocy *całego* narodu niemieckiego. Te wrogie dla państwa dążności doprowadziły już — *zdaniem rządu* — do *upośledzenia* i *wyparcia* niemieckiego języka i niemieckich obyczajów, są atakiem na *honor i godność narodową* — narodu niemieckiego. Niebezpieczeństwo dla pańswa pruskiego i narodu niemieckiego musi być przeto — zdaniem rządu — bardzo groźne.

Rzesza niemiecka liczy dziś 55 milionów głów, rodowitych Niemców blizko 52 miliony, posiada przeszło pół milionową armię w czasie pokoju, a czteromilionową w razie wojny, posiada olbrzymią flotę wojenną, która wywołuje postrach w najdalszych zakątkach naszego globu, posiada miliardowe kapitały, któremi jak w kleszczach trzyma wiele narodów pomniejszych, posiada nadto dwóch potężnych sprzymierzeńców.

Trudno tedy przypuszczać, iżby ta olbrzymia siła bała się trzech milionów własnych poddanych, nie posiadających armat, ani karabinów, ani nawet większych własnych kapitałów, poddanych, którzy przytem na każde zawołanie muszą jej dawać własną krew, własne mienie....

Te trzy miliony poddanych nie mogą chyba zagrażać pięćdziesięciodwumilionowej rzeszy niemieckiej, nie mogą wypierać żywiołu niemieckiego, za którym stoi taki kolos państwowy, nie mogą uciskać współobywateli niemieckich, w których rękach jest władza, jest siła, jest kapitał i wszelka inna przewaga materyalna.

Wiemy też aż nadto dobrze, że tak nie jest, że to my znosimy ucisk, że to nas wypierają na każdym kroku z ziemi ojczystej, że jedynie wytężeniem wszelkich sił żywotnych możemy uniknąć zupełnej zagłady.

Cóż tedy mogło skłonić tak potężne państwo do ponownego, tak stanowczego wystąpienia przeciwko ludności polskiej, do odwołania się do całej rzeszy niemieckiej? Gdyby chodziło tylko o te trzy miliony poddanych, toć Niemcy, taką okazując przed nami trwogę, narażaliby się jedynie na śmieszność wobec innych mocarstw i ludów.

Nawet ewentualne porównanie nas z małym ludem *Burów* nie może tu wchodzić w rachubę, gdyż ci zawdzięczają swe powo-

dzenie wojenne jedynie tej okoliczności, iż dzieli ich od Anglii ogromny Atlantyk i że mieszkają na olbrzymiej przestrzeni pół dzikiego kraju. Gdyby ot żyli tak blizko, tuż pod bokiem Anglii, jak my obok Niemców, Anglia dawno już byłaby się z nimi uporała. Zresztą — któż u nas marzy o jakiejkolwiek zbrojnej rewolcie. Nikomu ani przez myśl to nie przejdzie.

Musi tedy istnieć inna przyczyna, która skłania rząd pruski do takiego przeciwko nam wystąpienia. A cóż to być może?

Oto jedynie *widmo tej dawnej Polski*, rozebranej, podzielonej, a jednak jeszcze drgającej życiem i siłą.

Dawna Polska dziś nie istnieje. Skreślono ją z rzędu państw niezależnych i wymazano z politycznej karty Europy. Ale żyje *naród polski*, żyje i mnoży się i wiary w przyszłość nie traci.

A naród to liczebnie tak silny i, jak się teraz ponownie okazało, duchowo tak jednolity, pod względem narodowym tak solidarny, że mimo swego podziału na trzy części stanowi jeszcze... *mocarstwo* w Europie.

Co do liczby on też jedyny w Europie po za faktycznemi 6-ciu mocarstwami — Rosyą, Niemcami, Austryą, Francyą, Anglią i Włochami — miałby prawo do stanowiska takiego wśród rzeszy ludów. Jest nas przecie więcej niż Hiszpanów, Skandynawów, Portugalczyków, Holendrów, Bułgarów, Serbów i Greków; a i duchowo i kulturalnie zajmujemy jedno z pierwszych miejsc w Europie. Mamy więc wszelkie prawo do tego, ażeby nas uważano za mocarstwo, a oto najnowsze wypadki wykazują, że nawet Niemcy prawo to i stanowisko także nam przyznają.

Mogą się bać przecież tylko *całego* narodu! — równej sobie potęgi, *mocarstwa!*

I oto stała się rzecz dziwna!

Naród rozdarty na trzy części, nie posiadający ani jednego własnego żołnierza, ani jednej armaty, ani jednego okrętu wojennego, ani kapitałów, ani władzy własnej, — walczący o byt swój jedynie siłą *ducha* swego, naród ten strachem napełnia jedno z najpotężniejszych mocarstw świata....

Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy. Zapewne Fryderykowi II, gdy wyciągał ręce po łatwą zdobycz w Polsce, ani się nie śniło, że naród, który uważa za zgangrenowany, za niezdatny do samodzielnego życia, po stutrzydziestu jeszcze latach spędzać będzie sen z powiek potędze pruskiej i niemieckiej....

A może i dziadowie nasi, przelewający krew swoją na polach Maciejowic, nie marzyli o tem, że ta Polska, wówczas ginąca, tonąca w powodzi nieszczęść i gwałtów, stanie się dziś, chociaż bez broni palnej i siecznej — *siódmem mocarstwem Europy!*

Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy! Nam się ani nie śni gnębić innych, naprzykład Niemców, a wydzierać obcym, co ich jest, zabierać cudzą własność; bronimy tylko tego, co nasze, co od Boga nam dane, a właśnie w tej naszej obronie siła taka, że nie daje spać spokojnie zaborczej potędze niemieckiej. Widocznie w tej obronie naszej — *wola i siła Boża!*

Jesteśmy mocarstwem, nie siłą pięści i oręża, lecz siłą *ducha* wiary w sprawiedliwość Bożą i własną żywotność, siłą kulturalnej naszej zdolności, — i z tego stanowiska potęgi nic już nas zepchnąć nie zdoła.

Nie łudźcie się naprożno, panowie hakatyści. Nas już nie pokonacie! Sami przecie przyznajecie nam stanowisko... *siódmego mocarstwa!*

Ordon.



Brońcie dziatwy polskiej.

W tych dniach będziemy świadkami nowego procesu z rodzaju procesu wrzesińskiego, a — oby nie podobnej tragedyi. Ojcowie rodzin w *Ojrzanowie* pod Łabiszynem wnieśli razem z sołtysem, p. Wojciechem Oziminą do rejencyi bydgoskiej zażalenie na pierwszego nauczyciela tamtejszego Kühna, skarżąc się w niem, że „obchodzi się z dziećmi w sposób, urągający wszelkiemu opisowi.“ Skarżyli się już na to inspektorowi szkólnemu w Barcinie, ale nawet odpowiedzi nie otrzymali. Jaki zaś skutek odniosło to zażalenie do rejencyi? Oto władza ta wytoczyła śledztwo nie nauczycielowi — lecz sołtysowi p. Oziminie — o rozgłaszanie fałszów na nauczyciela i podawanie go w pogardę — zarzucając mu, że on to namówił innych ojców rodzin do wysłania skargi — w tym celu, aby „Kühna, jako Niemca wysadzić ze wsi, a na jego miejsce uzyskać innego nauczyciela, ile możności Polaka.“ I pan Ozimina stanie przed sądem i sądzony będzie za to, że ujął się za dziećmi polskiemi.

Podobny proces rozegrał się niedawno w *Wejherowie* w *Prusach Zachodnich*. Za „obrazę“ nauczyciela Wandtkego z Łężyc skazał sąd tamtejszy właścicielkę dóbr Zielewską oraz robotnika Augusta Bieszkę i żonę jego na 10 marek kary względnie dwa dni więzienia. Wandke zbił dziecko Bieszków tak, że mdlało potem i chorowało. Lekarz dr. Schwarzenberger w Sopotach wystawił na trzeci dzień świadectwo, że dziecko było tak obite, iż dwa do trzech miesięcy nie mogło chodzić do szkoły. Innego zdania był radzca medycynalny dr. Hasse w Wejherowie, bo orzekł, że przyczyną choroby dziecka był — popsuty żołądek. Obraza polegała na tem, że Bieszkowie, rodzice, spotkawszy nauczyciela w domu państwa Zielewskich, dokąd udali się byli po lekarstwo dla dziecka, wraz z panią Zielewską zarzucać mu mieli, iż obchodzi się z dziećmi jak: „morderca, czart, rzeźnik lub rakarz.“ Sąd uwierzył orzeczeniu dr. Hassego i skazał oskarżonych na powyżej podaną karę.

Nadmienić jeszcze wypada, że nauczyciel Wandtke zbił dziecko

za to, iż nie umiało niemieckiego... „*Vater unser.*“

I wobec takich wypadków dziwią się niektóre pisma niemieckie, że „rodzice polscy nie wnoszą zażaleń na nauczycieli“ — lecz że skarży się tylko za nich „prasa polska.“ Jakaż to gorzka ironia; zwłaszcza w obec skutku zażalenia p. Oziminy z Ojrzanowa. Czyż podobne zajścia mogą zachęcać rodziców do uskarżania się przed wyższą władzą?

Kto się czuje pokrzywdzonym, temu trudno dobierać wyrazów na wypowiedzenie swego żalu. Wyraża go tak, jak mu to zbolałe serce dyktuje i to przecież uwzględniać należy! W każdej sprawie karnej sądy wielką wagę przywięzują do motywów rzekomych przestępstw; a czyż może być motyw szlachetniejszy, świętszy, godniejszy szacunku i pobłażania, jak miłość rodziców do dzieci, troska o ich dobro i to uczucie rodzicielskie ciężko *zranione*? Nawet jeżli zbłądziło, jeżli posunęło się za daleko, należy mu przebaczyć niejedno....

Zranione uczucie rodzicielskie polskich ojców i matek względności takiej nie doznaje. Nie policza mu się nawet, że już od *lat wielu* w ciągłem jest rozdrażnieniu męką dzieci polskich w szkole, błędnym systemem szkólnym. Za każde ostrzejsze słowo, za każdy wybuch silniejszy — znosić musi nowe męki, nowe kary...

A tu pismacy niemieccy dziwią się jeszcze, że rodzice nie wnoszą zażaleń, lecz skarżą się tylko w prasie! Cierpienia nasze kraszą jeszcze szyderstwem, bo na szyderstwo zdziwienie to zakrawa.

A jednak — w obronie dzieci rodzice polscy przed żadną ofiarą, przed żadną męką cofać się nie powinni. Nie myślimy bynajmniej zachęcać ich do takiej opozycyi, na jaką odważyli się dzielni Wrześniacy, bo już zachęta do tego byłaby karygodną. Ale wzywamy ich i zachęcamy do obrony tak zwanej „*legalnej.*“ Piszemy „tak zwanej“ — a wyraz „legalnej“ opatrujemy cudzysłowem; bo dziwnie przecie ta „legalność“ wygląda w świetle ostatnich wypadków. Aleć trudno; głową muru nie przebijemy. Skoro już skazani jesteśmy na męczeństwo, powinniśmy je znosić mężnie i bez trwogi. I tem powoli mur ów skruszyć możemy, mur niedoli naszej, mur systemu antypolskiego. Snać Bóg tak chce, abyśmy do lepszej przyszłości szli drogą męczeństwa.

Chociaż tedy wypadki takie, jak ów ojrzanowski — a podobno będzie ich już w najbliższej przyszłości więcej, mogłyby nawet najśmielszych między nami zrazić do owej drogi „legalnej“ — nie należy zaniechać jej w żadnym wypadku. Choć serce pęka z żalu, dobierajcie słów *najłagodniejszych*, a użalajcie się i skarzcie bezustannie na krzywdy dziatwy waszej. Niechże bióra rejencyi zapełnią się stosami skarg waszych pod sufity, niechże one tam przemawiają do serca i sumienia panów radzców, których skargi prasy polskiej nie zdolne są wzruszyć. Niechże będą świadectwem, jak boleśnie odczuwacie, biedni rodzice polscy, mękę dziatwy waszej.

A gdy i za to spadną na was kary — znoście je mężnie. Bądźcie pewni, że każdy taki proces szkolny będzie odtąd przemawiał dobitniej i głośniej do sumienia świata i nowoczesnej cywilizacyi, niż wszelkie odezwy i artykuły gazet. Najwymowniejszym ich wyrazem to owa boleść i prostota, jaka się mieści w każdej takiej sprawie. Świat już zwrócił uwagę na nasze cierpienia, niechże ma je ciągle przed oczyma.

Nie trwożcie się! Miejcie zawsze przed oczami pierwszych męczenników chrześcijańskich. Tych wrzucano do cyrku na pożarcie dzikim bestyom wraz z niewinnemi dziatkami. A matki zasłaniały je własnemi ciałami, same rzucały się w paszczę lwów i tygrysów, aby ocalić, a chociażby tylko przedłużyć na chwilę żywot dzieci. Takiego męczeństwa Bóg jeszcze od was nie żąda. Czyż więc ulęknie się w obronie dzieci waszych przed ewentualnemi nieprzyjemnościami sądowemi?

Raz jeszcze zaznaczamy, że nie wzywamy was do gwałtów, lecz jedynie do „*legalnej*“ obrony za pomocą zażaleń do władz wyższych — nawet *tylko* do ściśle rzeczowych i zupełnie prawdziwych zażaleń. Jeżeli zaś przytem już musimy brać na uwagę także ewentualnie nieprzyjemości sądowe, to już nie nasza wina...

Wytrwałość cuda stwarza! To zawsze miejcie na uwadze. Cóż będzie, jeżli się poddamy dobrowolnie bez opozycyi ciężkiej doli naszej? Zmarniejemy, stracimy prawo do pomocy i opieki Bożej, a nawet prawo do szacunku u ludzi. Świat nami wzgardzi, jako zaprzańcami, dola nasza w niczem się nie poprawi, a dzieci nasze i przyszłe pokolenie złorzeczyć nam będą!

Dlatego raz jeszcze wołamy: Brońcie dziatwy waszej! Uczcie ją w domu czytać i pisać po polsku, uczcie ją dziejów naszych, a przedewszystkiem uczcie ją kochać nad życie wszystko, co nasze, co polskie — polską ziemię, polskie groby, polską mowę, pieśń polską, polski pacierz i niedolę polską. Niechże zawczasu przyzwyczajają się do niej i niech się jej nie boją! Przez nią bowiem dojdą do lepszej przyszłości. Ale obok tego *nie wyrzekajcie się praw waszych do szkoły.* Brońcie ich krok za krokiem, z siłą mężką i uporem. Na każdą krzywdę dzieci odpowiadajcie skargami i zażaleniami do wyższej władzy. Nie trwożcie się procesów i nowych przykrości. Toż to dla dzieci waszych, dla waszej pociechy, dla przyszłości całego narodu! Niechże przynajmniej *szyderstwa* odechce się pismakom niemieckim, niech im zamrze na ustach, zbladłych na widok morza skarg waszych. Pamiętajcie o tem, że przed Bogiem wy przedewszystkiem odpowiadać będziecie za dzieci wasze. Więc nie trwożcie się, nie drżyj-

cie przed nieprzyjemnościami. Brońcie dzieci Waszych!

— *Bóg tak chce!!*

Narodowiec.



„*Nicht Hausherr*“ — *nein* „*Gast ist hier der Germane!*“

Mniej więcej miesiąc temu odbyła się w Kościanie szumna uroczystość: otwarcie tak zw. „domu niemieckiego“, t. j. domu dla towarzystw niemieckich, podarowanego im — jak wiadomo, przez rząd za pieniądze państwowe, na które naturalnie i Polacy podatkami swymi składać się muszą. Do tego już przywykliśmy, a także do zgiełku i harmidru, z jakim u nas reklamuje się niemczyznę. Na uroczystości tej wygłoszono wiersz jako prolog, który aż kapał od patryotyzmu niemieckiego. I w tem nic dziwnego, gdyż według niemieckiego przysłowia: „Klappern gehört zum Handwerk“. Dziwniejszem było to, że autorem tego ultrapatryotycznego elaboratu wierszowanego był mąż, noszący wcale nie „urgermańskie nazwisko.“ Ale i nad tem rąk nie załamywaliśmy. Możemy tedy z spokojem przejść do porządku dziennego w tej sprawie. Po panu Koralewskim z Wrześni „wytrzymamy“ i wyżej wspomnianego pana i w narodowem niebie naszem dziury nie będzie.

Nie dziwiliśmy się więc ani tej uroczystości, ani temu patryotyzmowi i chociaż nam zarówno opis festynu jak i numer „Kreisblattu“ Kościańskiego nadesłano, w którym ów produkt poetyckiej sceny był zamieszczony, — milczeliśmy. Ubawiło nas wprawdzie niemało, że ów pan zdaje się, także siebie zalicza do tych „die *dem Herrmannsland entstammen*“, że ma się już nietylko za Niemca, ale nawet za potomka w prostej linii „barbarzyńców“ z teutoburskiego lasu — lecz i to zbyliśmy wzruszeniem ramion. Zresztą — wymyślanie takim panom, to najlepsza dziś dla nich reklama. I byłby ten ważny „dokument“ dziejowy najniezawodniej wpadł do odchłani kosza redakcyjnego, gdyby nie rozmaite głosy pism hakatystycznych z okazyi Nowego Roku.

W głosach tych rozbrzmiewały na wszelką nutę waryacye szumnego frazesu, który tłustemi głoskami pysznił się także w „utworze“ pana owego: „*Nicht Gast*“, nein „*Hausherr* ist hier der *Germane!*“ W pierwszej chwili, po przelotnem przejrzeniu wiersza, zdawało nam się, że „autor“ jego reklamuje „Hausherrnrecht“ czyli prawo domowe tylko dla Niemców dla owego domu niemieckiego w Kościanie, i tego mu bynajmniej za złe nie braliśmy, chociażby i co do tego niejedno dało się nadmienić już ze względu na owe polskie podatki, które jako wieczysta hypoteka zawsze na tym domu ciążyć będą. Po uważniejszem jednak przeczytaniu — zwłaszcza w połączeniu z owemi głosami pism hakaty — jasnem nam się stało, że to „Hausherr“ ma się odnosić nietylko do przytułku „uciśnionej“ niemczyzny w Kościanie, lecz do całego zaboru polskiego, do ziemi polskiej pod rządem pruskim.

Hola! panowie hakatyści wszelakiego gatunku! Co do tego, to w wielkim jesteście błędzie, czyli — jak wy to prześlicznie i dźwięcznie wyrażacie: „Auf dem Holzwege!“ Aby być „panem domu“ danej ziemi — do tego potrzeba czegoś więcej.

My zaś, my Polacy — mieszkamy tu od wieków. Bóg nam dał tę ziemię, dzierżymy ją od lat 2000, zrosiliśmy ją i użyźnili naszą krwią, naszym potem, uświęciliśmy ofiarami i grobami przeszłych pokoleń. Odpowiecie nam na to: „Drwimy sobie z waszego oporu, z waszego protestu. Przy nas władza, siła, a więc i prawo!“ Pogańską tę zasadę głosiło przecież nawet największe wasze bożyszcze hasłem: „siła przed prawem!“ Zapominacie atoli o tem, że ludzka władza, ludzka siła jest strasznie krucha, że przez jednę dobę w proch się rozsypać może, gdy Bóg tak zechce. W oczach Boga zaś, w oczach tego najsprawiedliwszego sędziego ta wasza zasada ostać się nie zdoła, gdyż sprzeciwia się świętym Jego przykazaniom.

Jakże przytem sami tą zasadą kłam zadajecie innym waszym twierdzeniom! Wiadomo, że Alzacyą i Lotaryngią „nabył“ Ludwig XIV takiem samem prawem i takim samym sposobem, jak monarchowie wasi dzielnice dawnej Polski. Przyszedł z wojskiem, gdy naród niemiecki był słaby i rozproszony i „wziął“ ziemie te jako swoje. On więc według zasady waszej był prawowitym władzcą Alzacyi, Lotaryngii i Strassburga, a zarazem, według waszego pojęcia „panem domu“ tych dzielnic. A czemu to nigdy nie przyznaliście Francuzom tego prawa domowego, czemu odbierając te ziemie w roku 1871, twierdziliście, że są *wasze?*

Właśnie między zaborem tych ziem przez Francyą a zaborem ziem polskich ścisła panuje analogia. Oba zabory dokonane zostały siłą, przemocą, w chwili zupełnej niemocy polskiego rządzącego stanu.

Jeszcze jedno! Czy i Napoleon I — opanowawszy monarchią pruską w r. 1807 był w niej „panem domu?“ Prosimy o odpowiedź!

Nie, prześwietni panowie hakatyści! Panami domu tu nie jesteście. Macie władzę i tę władzę dzierżyć będziecie, dopóki to się Panu Bogu podobać będzie. Władzę tę uznajemy i do niej się stosujemy, o ile nie wkracza w nasze najświętsze, bo od Boga otrzymane przywileje narodowe. „*Nicht* Hausherr“, *nein*, „*Gast* ist und *bleibt* hier der *Germane!*“

Prawdzic.



Groźbą — prośbą — czapką — papką.

„Germania“ grozi! Oto najnowsza faza zatargu polsko-centrowego. Cośmy przewidywali z całą pewnością, opierając się na doświadczeniach z lat ostatnich, zaczyna się ziszczać. Centrum dobrowolnie nieprzyzna społeczeństwu polskiemu prawa do rdzennie polskich okręgów górnośląskich, ani nie zechce nawet przystać na to, aby Górny Śląsk, to jest tamtejszy lud polski sam decydował o swoich losach. Każdą akcyą, każdą próbę w tym kierunku uważać będzie, zdaniem „Germanii,“ za „casus belli“ — za wypowiedzenie wojny. I co wywołało tę groźbę berlińskiego głównego organu centrowego? Oto skromna, wobec Centrum aż nadto lojalna uwaga posła Cegielskiego, męża, który należy chyba do najwierniejszych między nami przyjaciół centrum. To już najlepiej charakteryzuje usposobienie w decydujących kołach centrowych — a zarazem powinno rozwiać wreszcie złudzenie tych, którzy jeszcze myślą o pokojowem załatwieniu sporu, o układach. A tych jest wśród nas więcej — niż być powinno.

„In Sachen mein und dein — hört die Gemüthlichkeit auf — pisze „Germania“, to znaczy po polsku: w sporze o to, co moje i twoje — kończy się wszelka uprzejmość. Takie spory rozstrzygnąć może tylko *walka.* Sądząc po artykule „Germanii“ decydujące sfery centrowe nie będą reagowały na żadne propozycye z na-

szej strony, któreby sięgały po za zakres ustępstw pozornych, któreby w jakikolwiek bądź sposób zmierzały do przesunięcia granicy stanu posiadania Centrum w dzielnicach polskich.

Zapowiadają to zresztą także inne objawy i okoliczności. Centrum jest partyą nietylko silną, ale i bardzo mądrą, a ma w swoim składzie ludzi bardzo sprytnych, doskonałych dyplomatów, znających przytem aż nadto dobrze naturę polską. Ci panowie wiedzą, jacyśmy to poczciwcy w polityce, więksi nawet, niż w życiu prywatnem, jak łatwo nas podejść i rozczulić. To też postępują po temu. Jedną ręką nam grożą, a drugą cukierki podają. Nie ulega wątpliwości, że podczas gdy w Berlinie zapadnie decydująca uchwała nie ustępowania z pozycyi i dalszego zwalczania „wielkopolskiej agitacyi“ — pojedyńczy członkowie stronnictw poufnie będą zapewniali naszych ugodowców o swej życzliwości i pojednawczości. To podobno już się dzieje i już wydaje owoce dla Centrum pożądane, a dla nas bardzo smutne. Dalej! Czyż to nie dziwna, że właśnie w chwili, w której „Germania“ wystąpiła z tak szorstką groźbą — wydawany w Wrocławiu „Posłaniec katolicki“ — zamieścił artykuł, wykazujący, że zasady i dążności hakaty nie zgadzają się z duchem katolickim, że przeto katolicy ślązcy (naturalnie niemieccy) nie powinni należeć do hakaty. Czyż to nie dziwna, że redakcya „Posłańca“ teraz dopiero odkryła tę „prawdę?“

Przecie hakatyzm panoszy się na Ślązku właśnie między katolikami niemieckimi już od dawna, a i „Posłaniec“ wychodzi od lat sześciu czy siedmiu, jeżli nie od ośmiu.

Tak, nam znającym z doświadczenia działaczy centrowych na Ślązku i politykę tegoż stronnictwa, wydaje się to bardzo dziwnem i podpadającem — ale nasi ugodowcy powitają to z radością, a nawet nad taką uprzejmością i sprawiedliwością działaczy centrowych rozczulać i smucić się będą. Jakiż cel może mieć ta uprzejmość? My przypuszczamy, że ma jedynie cel taki: uśpić Polaków, złagodzić ich oburzenie — skłonić do zaniechania wszelkich kroków stanowczych, chociażby energiczniejszych propozycyi pokojowych. Chodzi o to, abyśmy sobie powiedzieli: „Centrum takie dobre, takie uczciwe. Ono samo spełni żądania ludu ślązkiego, samo wszystko załatwi jak najlepiej. A więc nie myślmy o wojnie z niem; niechaj „bude jak buwało.“

I gdy tak sobie powiemy, gdy ogół odstąpi tych, którzy się walki nie boją, lecz uważają ją za jedyny, skuteczny sposób uregulowania naszego stosunku do Centrum, gdy wskutek tego akcya podjęta przez nich spełznie na niczem, Centrum zacierać będzie ręce z radości, kopnie nogą powtórnie ślązki lud polski — i także pozostawi wszystko — jak było.

W ten sposób minie chwila najodpowiedniejsza, na Ślązku powstanie zamieszanie — w którem w sieci socyalnej demokracyi wpląta się conajmniej jeszcze raz tyle wiary polskiej na Ślązku, jak przy ostatnich wyborach. Centrum przez to może jeszcze mandatów nie straci, ale społeczeństwo polskie straci dużo i gdy potem zerwie się do działania, będzie już za późno, a przynajmniej po najlepszym czasie.

Tak jest! wszelkie *pozorne* ustępstwa ze strony centrowej mają tylko na celu rozbicie strony polskiej, osłabienie jej siły, nakłonienie jej do zaniechania rozpoczętej akcyi. Kto nie wierzy — rychło się o tem przekona; najpóźniej za półtora roku przy nowych wyborach. Czego nie zdoła osięgnąć groźba — zrobi grzeczność i udana uprzejmość, najlepiej zaś poskutkuje jedno i drugie, bo tych przerazi, innych pozyska.

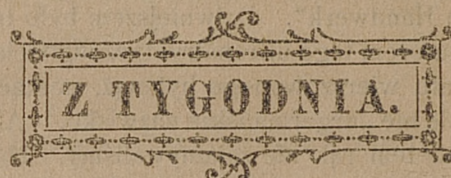
Zatem podnosimy, póki czas, głos przestrogi. Postawmy od razu sprawę jasno i otwarcie — choćby więcej jeszcze gróźb takich paść miało z łamów pism centrowych, chociażby nas łudzono większą jeszcze uprzejmością. Zażądajmy stanowczo oddania polskich okręgów polskiemu ludowi ślązkiemu, pozostawienia ludowi temu decyzyi, a gdy Centrum na to się nie zgodzi, przystąpmy do rychłego przygotowania *walki*.

Lud ślązki sam ją rozstrzygnie, i napewno zaufaniem swojem centrowca nie zaszczyci.

Gdy posłowie ludu ślązkiego zajmą właściwe swe miejsce w Kole polskiem, gdy już nie będzie przyczyny sporu między nami, wtedy możemy dalej iść ręka w rękę. Ale strzeżmy się — *pozornych* ustępstw — a drwijmy z bezsilnych gróżb „Germanii!“

Górnoślązak.





„Narodowi filozofów“ i butnemu jego rządowi zaczynają się psuć szyki na dobre. Stwierdził to wyraźnie tydzień ubiegły, w którym dowiedzieliśmy się bardzo ciekawych rzeczy. Nasamprzód, że hrabia Bülow niesłusznie podnosił z naciskiem wspólność interesów i zgodność dążeń Rosyi i Austryi z Niemcami wobec Polaków. Zwłaszcza taka *„zgodność dążeń“* wcale nie istnieje. Rząd austryacki nie dał się zastraszyć. Półurzędowe jego organy dały na wywody kanclerza i jego „Leiborganu“ odpowiedź bardzo chłodną, która mianowicie hakatystów niemieckich oblała zimną wodą. Powiedziano w niej tylko, że ze względu na przymierze Austryi z Niemcami może lepiej by było, gdyby sejm galicyjski nie był ogłosił owej deklaracyi, — ale po zatem nie skarcono jej ani słowem. Co więcej, dano Berlinowi wyraźnie do zrozumienia, że wara mu do wewnętrznych stosunków Austryi, i że Polacy w tem państwie są czynnikiem tak poważnym, iż rząd dla pięknych oczu dyplomatów pruskich nie myśli ich sobie zrażać. Prasa hakatystyczna spodziewała się napewno, że rząd austryacki dla zażegnania jej gniewu poświęci przynajmniej namiestnika Galicyi hr. *Pinińskiego*, jako tego, który mógł był a nie przeszkodził deklaracyi sejmu. Spodziewano się tego tem pewniej, ponieważ już od dłuższego czasu obiegały

pogłoski, że hr. Piniński wkrótce ustąpi. Ale i ta nadzieja zawiodła. Jakby na przekór hakatystom pogłoski te nagle umilkły; co więcej: nawet niemieckie gazety wiedeńskie oświadczyły, że były one bezpodstawne i że pomiędzy panem Koerberem, a hr. Pinińskim panuje jaknajlepszy stosunek. Faktycznie zaś rzecz miała się podobno tak: Ustąpienie hr. P. było rzeczywiście postanowionem, ale właśnie wobec wystąpienia „Nordd. Allgem. Zeitg.“ zostało cofniętem i odroczonem i to jedynie z tego powodu, aby nie zdawało się, że rząd austryacki w czemkolwiek uległ Berlinowi. Co więcej, pojawiły się nawet wieści, że ustąpi *nie* hr. Piniński, lecz hr. *Gołuchowski*, wielki przyjaciel trójprzymierza i że miejsce jego zajmie baron *Aehrenthal*, obecny poseł austryacki w Petersburgu, *przeciwnik* trójprzymierza i zwolennik zbliżenia się Austryi do Rosyi! Wszystko to sprawiło w Niemczech bardzo przykre wrażenie i obniżyło pewność siebie sfer szowinistycznych bardzo znaczenie.

Podobnej konfuzyi doznał hr. Bülow także ze strony *Rosyi*. Zapewniał on w parlamencie, że rząd rosyjski niezmiernie serdecznie przeprosił rząd berliński za zajścia warszawskie i że dał zupełnie zadawalające i uspakajające zapewnienia. Otóż tego ustępu mowy kanclerza cenzura rosyjska prasie tamtejszej przytoczyć nie pozwoliła. Stało się to zaś z tego powodu, ponieważ nie odpowiadał on rzeczywistości. Rząd rosyjski uczynił zadość czynności międzynarodowej z powodu owych zajść, ale po za tem nic więcej, O jakichkolwiek wynurzeniach niezłomnej przyjaźni itp. ani mowy nie było, a podobno nawet owo przeproszenie było raczej chłodnem niż uprzejmem. A ton prasy rosyjskiej przemawia aż nadto wyraźnie za tem, że Niemcy w swej kampanii antypolskiej bynajmniej nie mogą się spodziewać współdziałania Rosyi...

Do tych niepowodzeń przyłączyły się inne jeszcze przykrości. Nawet w parlamencie *włoskim* pojawiły się interpelacye w sprawie Wrześni — a rząd włoski zamiast stanowczo stanąć po stronie sprzymierzeńca berlińskiego zachował się wobec nich biernie. Równocześnie zaś coraz miłośniej zerka ku Francyi...

Hr. *Bülow* uchodził dotychczas za męża stanu bardzo wytwornego i bardzo ostrożnego. Tymczasem zdaje się, że oddawszy się całą duszą hakacie pod jej wpływem stracił te dwa dla dyplomaty najcenniejsze przymioty. Wnosić to można z jego wystąpienia na czwartkowem posiedzeniu parlamentu.

Odpowiadając na interpelacyą w sprawie owej mowy ministra angielskiego Chamberlaina, w której to tenże zarzucił armii niemieckiej w r. 1870 rozmaite niepiękne sprawki, uderzył w ton tak... prawdziwie hakatystyczny, iż wywołał gromy oburzenia po drugiej stronie kanału. Napróżno potem, nazajutrz, gdy w ślad jego wstąpił znany krzykacz poseł *Liebermann* i jeszcze ostrzej uderzył na Anglików, hr. Bülow starał się złagodzić przykre wrażenie swej mowy w Anglii. Prasa angielska jednym potężnym chórem dała na to dosadnią odpowiedź i wręcz a stanowczo wyprosiła sobie wszelką krytykę wojska angielskiego w Berlinie. Dobre dotychczas rzekomo stosunki urzędowych Niemiec z Anglią doznały silnego wstrząśnienia — a i to mają Niemcy do zawdzięczenia... bucie hakatystycznej, która opanowała już wysokie sfery.

Dziś Niemcy widzą jasno, że potęga ich nie jest taką, jak to sobie uroili, że nie sięga po za granice własnego kraju. Do tego smutnego dla nich rozczarowania przyłączyły się zaś inne jeszcze, niemniej smutne fakty.

Oto wewnątrz kraju wzmaga się *bieda*. Stwierdza to wyraźnie mowa od tronu. Dochody państwowe skutkiem tego cofają się w każdej niemal dziedzinie; nawet koleje pruskie, to niewyczerpane źródło zysków, odczuły dotkliwie zastój ogólny. Budżet państwa pruskiego wykazuje niedobór 75 milionów marek. Długi zaś wzrastają z przerażającą szybkością, obciążając kraj coraz większemi ciężarami procentowemi. Przyszłość przedstawia się więc bardzo ponuro...

Inne rządy w takiem położeniu dobrze by się pewnie namyśliły, czy iść dalej dotychczasowym torem, czy nawrócić? Obecny rząd pruski daleki jest od tego. Chociaż widzi jasno, że w swej polityce antipolskiej jest odosobniony, że polityka ta nie odnosi żadnego skutku, a tylko na wewnątrz obciąża budżet państwa a na zewnątrz podkopuje jego powagę — brnie w niej dalej. Już to *upór* jest starą cechą polityków niemieckich. Oni sądzą, że uporem i tutaj najdalej zajdą. A przecież raz już jedno i drugie zgotowało Prusom sromotną klęskę. Obecne występowanie rządu pruskiego i lekceważenie zagranicy przypomina nam żywo usposobienie kół rządowych berlińskich przed rokiem 1806. I wtedy żartowano sobie ze wszystkich, nawet z Napoleona, a cóż się stało? Pod Jeną i Auerstaedt w proch się rozbiła potęga pruska i król pruski uchodzić musiał z stolicy...

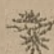
„Hochmuth kommt vor dem Fall“ powiada nawet niemieckie przysłowie — ale w Berlinie snać o niem zapomniano. Kasę państwową gniecie niedobór, ale na cele antipolskie nie zabrakło milionów. Cały świat burzy się dziś na bezwzględnie prowadzoną politykę niemiecką, rząd zaś zamiast ją poskramiać, podnieca ją jeszcze bardziej. A nuż się to źle skończy? Obecna sytuacya nie zapowiada nic dobrego.

Nam to tylko na rękę być może...

„Taniec antypolski“ w sejmie i parlamencie rozpoczął się już w przeszłym tygodniu. Poseł nasz pan *Dr. Dziembowski* zmył dzielnie głowę posłowi *Dr. Sattlerowi* i wykazał, że Niemcy nie mają prawa gniewać się na deklaracye sejmu galicyjskiego, ponieważ i Sattler mieszał się bezprawnie do spraw wewnętrznych Galicyi, a więc Austryi. Dalej wykazywał, że twierdzenie mowy od tronu o rzekomym ucisku Niemców w polskich dzielnicach jest bezpodstawne, jest *urojeniem*. Reprezentant rządu nie znalazł na to innej odpowiedzi, jak tylko tę, że winę nietaktownego wystąpienia Sattlera zwalił na marszałka parlamentu. On powinien był zapobiedz temu... W sejmie wniesiono aż dwie interpelacye z powodu mowy od tronu. Pierwsza nacyonał liberałów — wzywa rząd, ażeby wyjaśnił, jakie właściwie środki przedsięweźmie celem ostatecznego wytępienia polskości, druga: polska, podpisana przez całe Centrum, pyta, czy rząd ze względu na dobro kraju nie raczy nareszcie zerwać z dotychczasowym systemem nauczania w szkołach, mianowicie co do nauki religii? Aby ułatwić rządowi odpowiedź, marszałek sejmu poddał obie te interpelacye pod obrady *równocześnie* na porządku obrad poniedziałkowego posiedzenia. O przebiegu dyskusyi piszemy na naczelnem miejscu.

Poza Niemcami — nie wiele nowego zaszło w świecie. Dzielni *Burowie* oświadczyli podobno gotowość do dalszej walki z najezdcą aż do ostatniego tchu — i nową zadali klęskę Anglikom. — W *Chinach* cesarz i cesarzowa matka wrócili nareszcie do stolicy do Pekinu. Wjazd był wspaniały — a przedewszystkiem podpadła uprzejmość, z jaką przytem traktowano Europejczyków. Ale równocześnie nadeszła wieść, że w pewnym zakątku Chin zamordowano znów dwóch misyonarzy. Piękna uprzejmość! Lecz było to do przewidzenia! Najazd mocarstw na Chiny zaszkodził najwięcej misyom, przeniósł bowiem na nie nienawiść za doznane upokorzenie. Położenie misyonarzy jest dziś stokroć trudniejsze — a zadanie ich niewdzięczniejsze. Nauka Chrystusa nie znosi gwałtów i zbrojnych najazdów.

K. O,



PRZEGLĄD PRASY.

Najważniejszym wypadkiem politycznym ubiegłego tygodnia była dla nas a także dla Niemiec odczytana w czwartek na otwarcie sejmu pruskiego *mowa od tronu*. Ona też stanowiła główny przedmiot dyskusyi w prasie — więcej atoli w niemieckiej, niż w polskiej. Prasy niemieckiej nie zadowoliła wcale. Stwierdza bowiem tylko: biedę na wewnątrz, biedę ekonomiczną i strapienie z *Polakami*: ale ani na jedno ani na drugie „zło“ nie podaje środków pochwytnych — prócz frazesów. Co się tyczy *Polaków* uzupełnił ją potrosze minister skarbu *Rheinbaben*, zapowiadając, że rząd podwyższy ewentualnie fundusze na kolonizacyą, a fundusze dyspozycyjne dla naczelnych prezesów pomnoży z 400 tysięcy na milion. Z tych funduszów będzie rząd jeszcze hojniej wspierał niemieckich lekarzy, niemieckich adwokatów, kupców i przemysłowców, aby skuteczniej mogli odbierać chleb Polakom. To wszystko — czegośmy się na razie dowiedzieli — a to nas chyba *nie przeraża*. Swiadczą o tem wymownie głosy całej prasy polskiej zarówno w naszym zaborze, jak i po za jego granicami. I tak „Głos Narodu“ pisze:

„Cała mądrość pruskich mężów stanu wysila się teraz nad obmyśleniem sposobów dla zupełnego . . . . . Polaków. Gotuje się zatem nowa kampanja antypolska, zamaskowana obroną „zagrożonej niemczyzny.“ Społeczeństwo polskie, stanie do tej walki jemu narzuconej, *z godnością i spokojem*, jaki daje poczucie słuszności sprawy, ale także z tą *mocą* i z tem wytrwaniem, które w stanowczych chwilach rozstrzyga o zwycięstwie. Naród polski to niespożyty granit, ręką Opatrzności stworzony, na którym już nieraz się pokruszyły krzyżackie miecze. Następcy . . . . ., którzy świętem godłem osłaniali swoje zdrożności, mają dziś do rozporządzenia lepszą i niebezpieczniejszą broń, a uderzają tak śmiało, bo im się zdaje, że przed nimi stoi tylko drobny *odłam*, tylko przednia straż naszej narodowej pracy. Ale jest to złudzenie i zaślepienie. Naszym napadniętym kresom, naszym zagrożonym świętościom, nie zabraknie nigdy poparcia i moralnej pomocy, wszystkich Polaków, gdziekolwiek ich rzuciły nieszczęsne losy Ojczyzny.

„Niech Prusacy sypią nie setki, ale tysiące milionów, niech wszystkie szkoły wielkopolskie przemienią w więzienia i koszary, niech kują najsurowsze prawa i wymyślają najcięższe . . . . ., nie odbiorą nam języka, przeszłości, kultury i narodowego poczucia. Zgermanizowanie Wielkopolski jest tak samo niemożliwe, jak zmiana biegu ziemi i słońca, bo nasz naród ma nieśmiertelność, daną mu od Boga; jesteśmy bezbronni i przez wszystkich opuszczeni, — mogą więc nas Niemcy ranić, kaleczyć i męczyć, ale życia nam nie odbiorą, — raczej sami polegną.“

Toż samo pismo podaje na innem miejscu następujące ciekawe porównanie zaboru pruskiego z Irlandyą:

„W wieku XVII rząd angielski zaprowadził *w Irlandii*, celem wytępienia celtyckich i katolickich tuziemców, prawa niezmiernie surowe.

„Według tak zwanych „Penal laws“ biskupi musieli opuścić wyspę; księża parafialni byli internowani w swoich powiatach (hrabstwach); katolikom wzbroniono piastowania urzędów publicznych, nabywania własności ziemskiej, sporządzania testamentów, zawierania ślubów małżeńskich z protestantem, lub protestantką. Każdy syn, który przyjmował anglikanizm, stawał się eo ipso natychmiastowym właścicielem majątku ojcowskiego i miał prawo usunięcia ojca z pod dotychczasowego dachu. Katolicy musieli płacić dziesięcinę pastorom anglikańskim, którzy ją ściągali przeważnie z niebywałą surowością. Posunięto się nawet tak daleko, że zakazano Irlandczykom posiadania koni, droższych nad pięć funtów. Jeżeli Anglik spotkał Irlandczyka na koniu lepszym, miał prawo wypłacenia mu pięć funtów i zabrania konia natychmiast na własność.

„Wszystko to przypomina się przy czytaniu mowy tronowej pruskiej.

„Nietylko sam rząd zapowiada jeszcze ostrzejszy ton polityki antypolskiej, ale otwarcie woła cały naród pod broń przeciwko Polakom, rozdmuchując szowinizm i manję wielkości u Niemców, frazesami o zamachach polskich na honor narodowy niemiecki.

„I cóż za skutek wywoła w praktyce taka mowa tronowa? Oto byle pijak, byle wyrostek, byle karyerowicz narodowości niemieckiej, będą poczuwali się do obowiązku molestowania Polaków, posługujących się językiem rodzinnym na ulicach i w miejscach publicznych? Wzmoże się szpiegowanie życia domowego i podglądanie czynności prywatnych, wzmogą denuncyacye.

„To publiczne usankcjonowanie hakatyzmu, rozdmuchujące szowinizm i złośliwość, apelujące do zawiści i chciwości, równa się wyjęciu z pod prawa Polaków w Prusiech.“

„Kuryer Poznański“ — wypowiada następujące trafne uwagi:

„Przyjdą jeszcze ostrzejsze prawa, ale Polacy w Prusiech nie zginą, jak nie zginęli dotąd. Owszem polityka rządowa i hakatystów budzi w najwyższym stopniu naszą odporność narodową, zbudziła też już z wiekowego snu do narodowego życia prastary polski *Śląsk*.

„Zaostrzenie systemu i jeszcze większy wpływ hakaty, to znaczy, powiedzmy otwarcie, stanowczą i nieodwołalną utratę ogółu polskiego Śląska dla wpływów niemieckich.

„Zaostrzenie ustaw z punktu widzenia narodowego absolutnie nie przestrasza Polaków.

„Na całym horyzoncie środkowej i wschodniej Europy widnieje w coraz wyraźniejszych zarysach wielki dziejowy antagonizm Słowian do Niemców. Kroczy on naprzód ponad waśniami poszczególnych narodów słowiańskich, kroczy powoli, ale jako dziejowe fatum.

„Patrzmy bystrzej — dziejowa walka rasowa już wstąpiła w nowe fazy. Już idea zgody rasowej ostatni wydała odblysk za Capriviego. Odblysk ten słaby wówczas i pozbawiony prawdopodobieństwa istnienia zgasł i dziś już tylko wspomnienie po nim pozostało.“

Trafne uwagi o obecnej sytuacyi znajdujemy także w „Gońcu Wielkp.“:

„Że Niemcy są w obecnej sytuacyi bezradni, widzimy to też z postawy półurzędowego „Pos. Tageblattu“, który w jednym z numerów nawołuje rząd austryacki, żeby tenże zapobiegł dalszym protestom przeciwko Prusakom. Czyni przytem „Tageblatt“ wymówki rządowi austryackiemu, że nie miał „słowa protestu przeciwko niemieckość prowokującym wystąpieniom.“ Więc Niemcy uciekają się po pomoc do *Austryi!* — Równocześnie apelują hakatyści do *centrowców*, którym przypominają Górny Sląsk — i niebezpieczeństwo polskie. Nie wiemy, ile centrowców pozwoli się złapać na ten lep, lecz jest to już sprawą wewnętrzną stronnictwa niemiecko-katolickiego o ile ono chce pozostać wiernem hasłu: za prawdę, wolność i prawo. U lepszych żywiołów z pośród stronnictwa centrowego nie będzie pan hr. Bülow miał szczęścia, a o hakatystyczne jednostki w zakroju „Germanii“ *nie dbamy*.

„Chociażby więc pan hr. Bülow miał rzeczywiście zamiary ukucia nowych praw wyjątkowych przeciwko Polakom, któreby jego fatalną politykę ratować miały, to nie wierzymy w to, żeby centrum chciało przyłożyć rękę do takiej roboty. Pan hr. Bülow jak przyszedł, tak znowu pójdzie sobie, jak się cesarzowi Wilhelmowi II. będzie podobało, taktyka polityki pruskiej się może zmienić, a centrum przecież nie naraziłoby się na to, żeby się zdyskredytować — i to tylko z przyjaźni dla pana hr. Bülowa.

„Lecz w walce z niemczyzną *mniej nam powinno chodzić o sentyment panujący u wrogów*. Główną podstawą naszej odporności jest *wiara w własne siły* i w tem się zgadzamy z „Tageblattem“, że polskość czuje w sobie siłę nieprzetrawioną i — nie ustraszy się groźb pana hr. Bülowa.“

Kto, jak polscy dziennikarze, cały dzień brodzić muszą po śmietniku prasy antipolskiej — temu szczególną moralną satysfakcyą sprawiają wyjątkowo uczciwsze głosy, napotkane tu i owdzie w prasie niemieckiej. Do głosów takich zaliczyć należy, przedewszystkiem artykuł zacnego profesora dr. *Delbrücka*, zamieszczony w miesięczniku „Preussische Jahrbücher.“ Uczony ten Niemiec tak argumentuje:

„Państwo nowożytne nie jest w stanie wytępić naród cywilizowany, odebrać mu język i religię, mogłoby to uczynić chyba za pomocą środków, których kultura nowoczesna nie zniesie; a nawet i te środki nie doprowadzą do celu, gdy chodzi o naród posiadający własną literaturę i świadomość swej odrębności. Wszystkie pomysły hakatystów, jak niedoręczanie listów adresowanych po polsku, zakaz polskich zgromadzeń, zawieszenia wydawnictw polskich dzienników, wykupno gruntów polskich — są albo niedorzeczne, albo bezskuteczne.“

Najostrzej jednak wyraża się Delbrück o szkolnej polityce. Podnosi on całkiem słusznie, że bicie dzieci nie robi z nich Niemców, ale „męczenników“, i że wówczas mądry ksiądz i dzielne dzieciaki mogą wyzwać całe pruskie państwo i tryumfować nad niem;“ a ponieważ polityka jest „sztuką osiągania rzeczy możli-

wych" — przeto pruska polska polityka jest więcej niż zbrodnią, jest głupstwem.

„Potrzebujemy teraz — kończy Delbrük — zręcznego dyplomaty, któryby nas wyprowadził z labiryntu bez wyjścia, w jaki wpadło ministerstwo oświaty, podobnie, jak podczas walki kulturnej, gdy zakazało księżom udzielania Sakramentów, — i aby przytem państwo nie doznało porażki!"

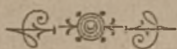
Ten głos niemieckiego uczonego, który, nawiasem mówiąc, nie jest przyjacielem Polaków, powinien zwrócić uwagę wszystkich politycznie uczciwych i nieuprzedzonych Niemców. Ale ileż jest takich dzisiaj w *„wielkim narodzie!?*

Na zakończenie dzisiejszego „przeglądu" naszego należy jeszcze wspomnieć o liście otwartym, wystosowanym przez znanego uczonego naszego prof. dr. *Smolkę* do posła nacyonalliberalnego *Sattlera* z powodu wygłoszonych przez tegoż w parlamencie niemieckim fałszów o rzekomym ucisku Rusinów w Galicyi. Prof. *Smolka* przypomina Sattlerowi *przysięgę*, jaką razem z nim składał jako doktorand na uniwersytecie w *Getyndzie*, a w której przyrzekali, że zawsze i wszędzie szukać i głosić będą *prawdę*! Wykazawszy całą kłamliwość i umyślne fałszowanie prawdy przez niemieckiego „uczonego", kończy prof. Smolka:

„Poważnie dziś sprzeniewierzyłbym się prawości, gdybym zaniedbał tę smutną prawdę wykazać, że dr. Sattler publicznie tak wiele nieprawdy wygłaszając, oburzającej niewierności dopuścił się względem mistrza swego, który nad wszystko w świecie wynosił prawdę."

Na ten pełen godności list polskiego uczonego Sattler odpowiedział już w parlamencie niemieckim, a odpowiedział w sposób, cechujący wymownie całą wartość moralną i duchowną tego „apostoła" niemczyzny. Fałszów naturalnie nie odwołał, a prof. Smolce zarzucił nieznajomość form towarzyskich!!

B. M.



Listy od przyjaciół.

Poznań, d. 12. 1. 1902.

W ostatnim numerze na rok zeszły „Pracy" umieszczono artykuł, dotyczący szykan pocztowych.

Takich okazów ma prawie każdy Polak kilka.

Na oddrukowanie wszystkich szkoda miejsca w naszych gazetach, lecz można takowe składać i posłać do muzeum pocztowego, ażeby potomkowie p. Podbielskich itd. mogli mieć przykład z wysokiej kultury pruskiej, lub posłać dyrektorom itd. jako pamiątkę.

Co robić przeciw szykanom samym? Otóż szkoda każdego słowa co prawda, bo to się nie zmieni na nasze skargi. Poczcie nie chodzi o nasze adresy, bo te wybornie rozumieją, ale o to, ażeby usunąć Polaków urzędników, jako zbytecznych.

Niech zatem inni za nas mówią!

Radzę zatem każdemu po odebraniu listów każdy list z niemieckim adresem, jeżeli jest nie ważny, albo nie pilny, dalej wszystkie druki, oferty itd. z niemieckim adresem odłożyć i na każdym takim liście napisać **zurück** wegen deutscher Adresse verweigert Annahme.

Listy te wrzucić z powrotem w skrzynkę pocztową.

Oczywiście, że w tym przypadku poczta i po niemiecku czytać nie umie, bo po części taki list jeszcze raz dostaje się do rąk adresata.

W tym przypadku znów spokojnie przyjąć i wrzucić z powrotem do skrzynki pocztowej.

Gdy atoli listy od interesentów przyjdą po polsku adresowane (od Niemców) przejdą Uebersetzungsstelle, można odesłać jako za późno nadeszłe.

Kto ma zaś czas, niech każdy list, który przechodzi krwarantannę monituje u dyrekcyi.

Dodać muszę, iż pruska poczta boi się oprócz Boga także i ruskich adresów. Odbieram bowiem listy adresowane tylko po rusku — no i dochodzą bez spóźnienia i nie mają stempla czerwonego.

Jeszcze słówko do naszych pp. kupców i rzemieślników.

Otóż nowe miliony pójdą na pomoc „uciśnionej niemczyźnie".

Otóż my bądźmy życzliwi i pozwólmy Prusakom żyć z tych milionów, a nasze miliony nieśmy do naszych.

Niejeden kupiec lub rzemieślnik mówi: przecież polskiej fabryki nie mamy. Zgoda na to, ale są inne, jak angielskie i francuzkie. Otóż każdy z nas niech baczy na to, ażeby, o ile się da, kupował wyroby angielskie, francuzkie, amerykańskie, wreszcie inne, byle nie pruskie.

Prusacy mają miliony, niech z nich żyją, a my żyjmy z pracy rąk własnych.

Jesteśmy biedni, ale aż nadto bogaci, ażeby się używić wzajemnie. Nie prawdą jest, jakobyśmy nie byli na wysokości pod każdym względem kupiectwa i przemysłu, tylko się wzajem popierajmy.

Zresztą czyż to nie milej spożywać, albo nosić rzecz jakąś od swojego niż od wroga?

Dzisiaj główne rozdwojenia w narodzie pochodzą właśnie ztąd, że się nie popieramy.

Zatem odpowiedzmy p. Bülowowi na jego miliony po prostu śmiechem i okrzykiem „swój do swego."

Czytelnik „Pracy".

* * *

Przement, 12 stycznia 1902.

Szanowna Redakcyo!

Pomimo, iż „Praca" jest tutaj po „Przewodniku" najpoczytniejszą gazetą, nie było dotąd żadnej w niej korespondencyi z Przementu. A ponieważ Przement leży w powiecie babimojskim, blisko granicy śląskiej, jest więc wystawiony na rozmaite szturmy germanizatorskie, dlatego o umieszczenie niniejszej korespondencyi proszę.

Mieliśmy od przeszło 30 lat w Przemencie agenturę pocztową ku wielkiej wygodzie mieszkańców. Nagle przed niedawnym czasem przychodzi wiadomość, że agentura ma być przeniesiona na blisko 1 kilometr odległe Przedmieście i to do tamtejszej szkoły. Tak też pomimo protestu dozoru i reprezentacyi szkolnej, się stało. Wysłano petycyą do dyrekcyi poczty podpisaną przez wielu kupców i rzemieślników, Bank ludowy, Wiel. Księży, o przywrócenie agentury na powrót do Przementu, tak samo starano się i u ministra, lecz wszystko bez skutku. Przedstawiono rozmaitych odpowiednich kandydatów na agentów, jednakowoż dyrekcya uznała za najodpowiedniejszego nauczyciela, naturalnie, bo nauczyciel Niemiec. Nauczyciel ma naukę w szkodę, nie zawsze ma czas sprawami pocztowemi się zajmować, więc pani nauczycielowa „postagentem" być musi. Ta ma także swe domowe zatrudnienie, więc czekać trzeba nieraz długo aż pani nauczycielowa się namyśli i przyjdzie naszą gazetę lub coś innego wydać. Musimy brnąć w największem błocie lub śniegu o 1 kilometr na pocztę, tam trzeba potem czekać w zimnej sieni, przytem być na przeciąg wystawionym. Można się przez to choroby nabawić. Lecz to wszystko niczem, bo poczta u nas, jak widać, nie jest dla wygody mieszkańców, tylko dla wygody rządu. Przeciw tej niedogodności my mieszkańcy Przementu protestujemy i wzywamy Szanownych posłów, ażeby sprawę poczty w Przemencie poruszyli w parlamencie.

W Przemencie istnieją następujące polskie instytucye:

1. Kółko Rolnicze, istniejące już 30 lat i liczące 80 członków, prezesem jest ks. radzca Mojzykiewicz.

2. Bank ludowy, nadzwyczaj dobrze prosperujący, liczący około 600 członków. W skład zarządu wchodzą: ks. r. Mojzykiewicz dyrektor, J. Janiszewski kasyer, Józef Kasperski kontroler.

3. Towarzystwo polsko-katolickie pod wezw. św. Józefa, założone r. 1896 i liczące już przeszło 400 członków. Patronem ks. r. Mojzykiewicz, prezesem ks. Stefan Jadomski.

4. Bank parcelacyjny istniejący dopiero 1 rok. Do zarządu należą ks. St. Jadomski, Antoni Rancr i Jakób Karwatka.

Oprócz tego powstała w Starkowie tuż pod Przementem parowa cegielnia, której właścicielami są pp. Jakób Ptak, Jan i Kazimierz Janiszewscy i Bronisław Wojciechowski z Przementu.

Szczęść im Boże!

Jeden za wielu.

Z obczyzny.

Szanowna Redakcyo!

Racz przyjąć łaskawie ten mały datek 18,64 m., które zebraliśmy na wieczorku Mickiewiczowskim na rzecz zasądzonych w Wrześni; niech im Pan Bóg da męztwo i siły do znoszenia ciężkiej doli!

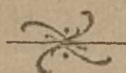
Niespodziewał się naród tego, czego doznał w końcu roku, iż takie doświadczenia na nas spadną. Zasądzenie gimnazyastów, zasądzenie całych rodzin wrzesińskich przenikło na wskroś wszystkie serca, jak iskra błyskawiczna, i osłabiło zaufanie w narodzie tych, do których do niedawna pewne chociaż jeszcze mieliśmy zaufanie. Gdzież jest sprawiedliwość dla nas, gdzie jej szukać, chyba u Pana Boga, na tym świecie nie! W tem państwie, tak wysoko ucywilizowanem, jakiem się mienią być Niemcy, tylko krzywdy za krzywdami znosić mu-

simy, za cóż my tak prześladowani i dręczeni? czy za to, że nas Pan Bóg narodem stworzył, że jako taki mamy prawo bytu? Czy za to, że jako taki jeszcze po tylu dręczeniach żyjemy, i zdrowego ducha mamy i że swoich praw świętych przyrodzonych się trzymamy? Czy za to światło wiary św., które się jeszcze świeci, za obowiązki względem państwa, które tak sumiennie wypełniamy? czy za przysposabianie się w ojczystym języku, aby ściśle swe obowiązki módz wypełnić, czego sam Bóg od nas żąda? Zato wszystko bywamy tak dręczeni i prześladowani. Gdzie tu sprawiedliwość i miłość chrześciańska?

Czy im Pan Bóg osobne dał na to pozwolenie. Tak postępować może chyba tylko naród bez litości, bez serca. Chcą w nas koniecznie hakatystyczne sumienie wbić i dlatego te dręczenia. W ten sposób nie zasłużą sobie chyba na zbawienie, nas sobie nie pozyskają, owszem ducha dotychczas śpiącego obudzą i do nowego życia sami powołają. My pozostaniemy tem, czem nas Pan Bóg stworzył. Widoczna moc jakaś pędzi dziś świat do pogaństwa, a nie do chrześciaństwa.

Bo czyż może być inaczej, jeżeli się religii udziela w obcym języku? Narodowość i religią wykorzenia się razem; już dość owocu z tego posiewu mamy i będzie go jeszcze więcej, jeżeli się to wnet nie zmieni. Wówczas to jedynie socyaliści tryumfować będą.

Czytelnik „Pracy“.



Cześć poległym bohaterom

w roku 1863.

Och! cała ziemia to nasza smętarna,
Wygląda, Panie, jak czara ofiarna,
W którą poganie zlewali krew wrogów,
Dla dawnych bogów.

Co raz się więcej spód ziemi zaplemia,
Na nowe groby miejsca nie ma ziemia,
A więc na prochach ojców, twarzą bladą,
Syny się kładą —

I oto Panie, jak się wypiętrzyła,
Warstwami trupów sypana mogiła,
A innem licem każde pokolenia,
Warstwa się zmienia.

I najprzód leżą daleko u spodu,
Ciemne olbrzymy, ojcowie Narodu,
Co podpierali o krwawe oszczepy,
Czaszek czerepy.

I niedźwiedziową okryli się skórą —
A znać im z oczu przymkniętych ponuro,
Że w borach wiodły nie jeden bój dziki,
Te zapaśniki.

A na tych ciałach szeregiem się łożą,
Ludzie co znali już naukę bożą,
Bo szorstkie dłonie na zbroi ze stali,
W krzyż poskładali.

A każdy patrzy pokojem natchniony,
Widać, że poległ dla kraju obrony,
Widać, że synom kraj wolny zostawił,
I siebie wsławił.

Wyżej na owych ojcach bogobojnych
Kłębią się ciała w rzutach niespokojnych,
Jak na wędrowcach co zmylili drogę,
Znać na nich trwogę.

Jedni z nich troską zadumani leżą,
Drudzy w rozpaczy miecz złamany dzierżą,
A inni zdrajców osypani trądem,
Straszą się sądem.

A prócz tych Panie, co śpią w ziemi [zmierzchu,
O! ileż trupów tu, na samym wierzchu!
A wszystko w Niebo patrząc znaną twarzą,
Ach! o nas marzą.

Sercem i ręką naszą obwiązani,
Teraz o Panie, leżą przepasani.
Przez szyję siną pręgą, a przez łono
Pręgą czerwoną.

I jako słudzy twoi w dawnej Romie,
Z pieśnią stawali na płonącym łomie,
I na świadectwo Twojej wiecznej prawdy,
Cierpieli zawdy.

Tako i nasi bracia, Wielki Boże,
Jak na spoczynek szli na krwawe łoże,
A strasznym bolem pokurczone wargi,
Nie miały skargi.

Panie! toż wszystkie ojców naszych winy,
Już śmiercią swoją okupiły syny,
Panie! Tuś musiał zmarłych poczet cały,
Wziąć już do chwały.

A jeśli naszą pokutę żałobną,
Dotąd nie skończył daj nam śmierć po- [dobną,
Ale nam powiedz: „Do ofiarnej katni,
Idźcie ostatni!“

Ale nam powiedz: „Was umieszczę [w chwale,
Kraj wasz ku morzom rozścielę wspaniale,
A dzieci wasze do jednego stołu,
Sproszę pospołu!“

Cześć, cześć i chwała niech będzie po- [piołom,
W proch, w proch, w pokorę giąć się na- [szym czołom,
W jęk w łzę rozlewać to nasze wołanie,
Do ciebie Panie!

Kornel Ujejski.



W 38-mą rocznicę

ostatniego powstania narodowego.

WSPOMNIENIE
O
MIECZYSŁAWIE ROMANOWSKIM.
(Do illustracyi albumowej).

Duchowych natchnień Synu! wierne Polski dzie- [cię,
Jakoś czułeś gorąco — takoś się w bój rzucił.
Ducha wylałeś w pieśni — krew ziemiś po- [wrócił,
Więc czegoż jeszcze wy po nim płaczecie?

Był młodzian dwóch wieńców — daj mu Boże [trzeci!
I niechaj wiekuista światłość duszy świeci!
Złóżcie ze czcią dwa wieńce na poczciwym grobie,
I niech się nad nim słowik w ciszy lasów żali;
On się dobrze zasłużył — więc powiedzcie sobie:
W ślad dobrze zasłużonych nam potrzeba dalej:..

W. Pol.

Wielkie i nader bolesne są bez zaprzeczenia straty, o które nieszczęśliwą Polskę przyprawiło ostatnie, rozpaczą wywołane powstanie; żal srogi zalewa serce na samą myśl o tylu drogich ofiarach, które naród, wydany sromotnie na pastwę wrogów, poświęcił jak abrahamowe całopalenia za wolność własną i całej ludzkości; — ale jeźli na tym mogilniku narodowym znalazłby się niejeden grób, mający prawo do czci i żałoby całej Polski, to zaprawdę jednym z najgodniejszych tej nagrody będzie pomiędzy niemi ten, w którym mieszczą się zwłoki drogiego ziomka naszego, młodego bohatera-poety *Mieczysława Romanowskiego.*

Mało komu na świecie dano jest wznieść się własną zdolnością i potęgą ducha nad poziom codziennego życia; jestto przywilej istot wyjątkowych, wyższych całym światem od swojego otoczenia, a które Opatrzność umyślnie wybiera na to, ażeby odczuwszy w sercu swojem wszystkie pragnienia, wszystkie bóle wieku, kochały też i cierpiały za wszystkich. Taką istotą wybraną w całem znaczeniu tego wyrazu był ś. p. Mieczysław.

Już od pierwszych lat młodzieńczych, kiedy inni rwą się do świata z uśmiechem na ustach, z pragnieniem szczęścia w sercu, krajała czoło jego w bruzdy myśl poważna i wielka, a dusza jego pełna boskiego natchnienia stroiła się jak arfa do cherubinowej pieśni miłości i poświęcenia dla tej, którą ukochał nadewszystko, dla najdroższej patronki swojej i oblubienicy — Ojczyzny. I w istocie też było całe jego życie, acz krótkie niestety, jedną — że tak powiemy — wielką pieśnią na cześć tej męczennicy, pieśnią — która jak wiosenny hymn skowronka rozlewała się czarownemi dźwięki nad ziemią sierocą, a którą los okrutny przerwał właśnie wtedy, gdy zachwycony piewca zaczynał już dobierać najwznioślejszych akordów natchnienia. Ale chociaż pieśń ta nie została dokończoną, chociaż urwała się w połowie bolesnym jękiem, jak struna pękająca pod ręką mistrza, nie straciła ona przeto nic na swojej wartości, bo ci, którzy zrozumieli jej początek, zdołają sami dośpiewać ją w duszy do końca choćby tylko echem tego jęku, którem zadrgało bez wątpienia każde serce polskie.

Nie mamy zamiaru skreślać tu dokładnego życiorysu poety; uczynili to w swoim czasie inni, znający go bliżej koledzy i przyjaciele, a pisma jego są już niezawodnie tak dobrze znane publiczności polskiej, że byłoby zbytecznem mówić cośkolwiek jeszcze na ich pochwałę. Chcemy tylko wyjaśnić czytelnikom naszym znaczenie pięknej, aczkolwiek smutnej treścią swoją ryciny, którą obdarzył nas znakomity ołówek p. Fr. Tepy, a która ma uprzytomniać nam bolesną stratę, poniesioną przez zawczesny — chociaż prawdziwie bohaterski zgon tego nieodżałowanego młodziana.

Mówiliśmy już, że ś. p. Mieczysław kochał nadewszystko Ojczyznę; ona była zawsze najświętszym przedmiotem jego poetycznego natchnienia; w niej i dla niej tylko żył on, bolał i pracował, i zawsze też było naj-

gorętszem jego życzeniem, stwierdzić tę nieograniczoną miłość dla niej jakimś aktem wielkim, choćby nawet ofiarą własnego życia. „Wielkie winy — mawiał — dadzą się zmazać tylko wielkiemi ofiarami, a zmartwychstanie okupuje się tylko życiem.“ Rówieśnicy jego i przyjaciele, przed którymi otwierało się to szlachetne serce, którym powierzał swoje marzenia, bywali nieraz świadkami podobnych wynurzeń poety; a w niektórych pieśniach jego, osobliwie z ostatnich dni życia, przebija się całkiem wyraźnie wieszcze przeczucie takiego ofiarnego zgonu, które niestety zbyt prędko miało zamienić się w rzeczywistość.

Kto zna ostatni poszyt jego poezyj, wydany w r. 1863 przyzna, że większa ich część została utworzoną w podobnem nastrojeniu duszy; tym zaś, którzy ich nie czytali jeszcze, dość będzie poznać jedną tylko, umieszczoną przy samym końcu poszytu, a którą możnaby niejako uważać za testament, za rozporządzenie ostatniej woli poety. Oto dosłowna treść tych pożegnawczych zwrotek:

Lećcie me pieśni! niech wam towarzyszy
Szczęśliwa gwiazda pod gościnne strzechy.
Zwiastujcie burzę śród gniotącej ciszy,
Smutnych pozdrówcie dźwiękami pociechy;
Lećcie, witajcie ludzi po kolei
Jak ptactwo wiosny okrzykiem nadziei.

Może już innych pieśń ma nie wyśpiewa,
Może wy natchnień ostatnim wyrazem!...
Dni piorunowych serce się spodziewa,
Ztwardniała ręka tęskni za żelazem;
W powietrzu słychać pobudkę na boje!...
Już czas! już czas nam! — Lećcie pieśni moje!
O! gdyby kiedyś, po złamaniu wroga,
Polskiej krainie zaśpiewać na chwałę! . . .
Żegnajcie pieśni! . .; Przyszłość w ręku (Boga —
Z sztandarów w pole patrzą orły białe;
Wrzącym strumieniem krew po żyłach (bieży,
Łono przebiega dreszcz, lecz serce wierzy.

Jeźli polegnę, niechaj mi w nagrodę
Za was niekładą pamięci kamienia.
Ziemią niech piersi przysypią mi młode;
Mój kurhan niech mi trawa ozielenia,
A gdy majowy deszcz ten kurhan zrosi,
Niech nad nim ptak się, jak mój duch [unosi.

I od wyśpiewania tej pieśni upłynęło zaledwie kilka miesięcy — jeszcze w sercach przyjaciół drgało smutne echo jej dźwięków, a już cios ręki wrogów oniemił na wieki natchnione usta kochanego piewcy.

Wypadki warszawskie w r. 1861 i następne powstanie w Królestwie wywierały wpływ elektryzujący na każde serce polskie; czuliśmy go wszyscy, zarówno młodzi jak i starce, i rycerski duch narodu, przywiedzionego do rozpaczy, rwał się z nową nadzieją do krwawych poświęceń i ofiar. O ileż potężniejszem musiało być działanie tych wypadków na serce tak wzniosłe, na umysł tak wrażliwy, jak ś. p. Mieczysława! To też każdy jęk upadającej pod krzyżem męczennicy, każde tętno bolejącego serca Polski, odbijało się stokrotnem echem w jego łonie i pieśniach; a gdy nadeszła pierwsza wieść o heroicznem powstaniu, nie znały już myśli jego i życzenia innego celu, jak tylko uderzywszy na pobudkę pochwycić miecz temistoklesowy i pospieszyć w szeregi walczącego o byt swój narodu.

Przez niejakiś czas udawało się przyjaźni, trwożnej o życie poety tak drogie Ojczyźnie, wstrzymywać szlachetny jego zapał; ale gdy z początkiem roku 1863 wzmógł się na nowo entuzyazm powstania — osłabiony przedtem nieco ciężkiemi klęskami, i gdy we wszystkich ziemiach polskich zaczęły się organizować świeże wyprawy do Królestwa: straciły już moc wszelkie uwagi i zaklęcia zimnego rozsądku, i szlachetny młodzian uważając dalszą bezczynność za zbrodnię względem Ojczyzny, wyrwał się z najtkliwszych objęć miłości i przyjaźni, i pospieszył dać czynem świadectwo prawdzie, której był tak gorliwym wyznawcą i apostołem.

Dostawszy się szczęśliwie z kilkoma przyjaciółmi za kordon, przyłączył się w Lubelskiem do oddziału Lelewela, którego wielce szacował i kochał, i pełniąc przy jego boku służbę adjutanta brał przez kilka miesięcy udział w licznych utarczkach partyzanckich, będąc dla wszystkich najlepszym przykładem waleczności i poświęcenia. W księdze wyroków był już naznaczony bliski kres tego pięknego żywota, i prędzej niż przypuszczać było można, nadeszła chwila spełnienia się krwawej ofiary. Dnia 24 kwietnia 1863 r. otoczyły obóz Lelewela w lasach pod Józefowem ze wszech stron przeważne siły moskiewskie. Odwrót bez walki był niepodobnym, i powstańcom nie pozostawało nic innego, jak tylko przebojem utorować sobie drogę przez zastępy nieprzyjacielskie. Rozpoczął się tedy zacięty bój o śmierć lub życie; młody nasz bohater walczył przez cały czas z nieustraszonem męztwem w pierwszym szeregu; i już się zdawało, że zimna dłoń śmierci nie dosięgnie jeszcze tą razą tej szlachetnej skroni, gdy niestety prawie już przy końcu walki przeszywa mu kula nieprzyjacielska piersi i złamanego śmiertelnym bolem powala w jednej chwili na ziemię. I ten to rozdzierający serce widok jego pasowania się ze śmiercią przedstawia rycina p. Tepy.

Upadek jego nastąpił tak nagle, że z kolegów nawet mało kto go dostrzegł; ale i ci, którzy widzieli, tak byli zajęci obroną własną, że o niesieniu pomocy ranionemu nawet pomyśleć nie mieli czasu. Jeszcze chwilę potem trwał bój rozpaczliwy; oddział Lelewela został rozbity i rozprószył się na wszystkie strony, a nieszczęśliwy Romanowski tymczasem, wycieńczony bolem i krwi upływem, dogorywał samotnie — bez żadnego ratunku śród lasu. Ale na tem nie skończyły się jeszcze jego męczarnie, gdyż po zakończeniu walki wpadli carscy oprawcy na pobojowisko, i na chwałę wielkiego protektora wszechsłowiańszczyzny zamiast nieść pomoc rannym powstańcom, pomordowali z miłości chrześciańskiej wszystkich, a między nimi śp. Mieczysława, pastwiąc się prawdziwie po bestyalsku nad trupami nawet.

I gdy w kilka godzin potem, po ustąpieniu dziczy z tej okolicy, zebrały się szczątki rozbitego oddziału polskiego i udały na plac boju dla odszukania poległych — jakiż okropny widok przedstawił się ich oczom! Na takie barbarzyństwo nie zdobyłyby się nawet najdziksze hordy australskie. Wszystkie ciała — odarte do naga — tak były podziurawione i sromotnie oszpecone, że zaledwie rozpoznać je było można; a najokropniej ze wszystkich sponiewierane były drogie zwłoki Romanowskiego, na którym Moskale w mniemaniu, iż to sam dowódzca odziału, całą wściekłość swoją wywarli. Ale spuśćmy zasłonę na ten straszliwy obraz bezeceności, na której samo wspomnienie wzdryga się cała natura ludzka! W taki to sposób spełniła się owa wielka ofiara, o której przez całe życie marzył poeta: — oddał on Ojczyźnie wszystko, co miał najdroższego, a czysty duch jego, który na ziemi tak rozgłośnie śpiewał chwałę Polski, orędowniczy teraz w krainie wieczności jako jeden z jej patronów przed majestatem Wszechmocnego.

Ziściło się też najzupełniej życzenie, które wyraził w piosnce swej pożegnawczej: zwłoki jego spoczęły na polu chwały, w cichem ustroniu, śród śpiewaków leśnych, którzy mu jak najmilszemu druhowi nucą hymn pochwalny; młode piersi jego przysypano tą ziemią świętą, za którą dał krew serdeczną, a która — jak deszczem majowym — zroszona łzami jego kolegów i przyjaciół zazielenia się bujną trawą co wiosny; a chociaż mogiły jego — jak tego sam pragnął — nie zdobi żaden kamień pamięci, wznosi się przecież na cześć jego pomnik nierównie trwalszy i piękniejszy we wszystkich sercach, które go kochały, i w których pamięci jaśnieje zawsze postać jego z podwójną aureolą jako bohatera i wieszcza narodowego.

Fr. W.



Sławni astronomowie.

Pierwsze miejsce pomiędzy najsławniejszymi astronomami, jakich znają dzieje świata, zajmuje *Mikołaj Kopernik*, ta sława i chluba narodu polskiego, z którego wyszedł łona. Długo nie wiedziano w uczonej nawet Europie, jakiej Kopernik jest narodowości, choć z dzieł jego samych można się o niej dowiedzieć. Niemieccy uczeni chcieli go nawet przywłaszczyć, twiedząc, że jest rodowitym Niemcem.

Król bawarski Ludwik I kazał w r. 1842 posąg Kopernika umieścić w pięknym budynku nad Dunajem w pobliżu Regensburga pod starogermańską nazwą walhalla. Tak więc stanął polski astronom obok wielkich mężów, którzy słusznie są chlubą Germanii.

Pomysł był wielce niefortunnym, a i krzywdą wyrządzoną prawdzie historycznej. Monarcha bawarski zapomniał, lub też wcale nie wiedział, że już przed nim w r. 1830 wystawiła Warszawa piękny pomnik Kopernikowi, że przy odsłonięciu jego najuczeńsi mężowie w mowach swych uświetnili imię po-

skiego astronoma, i wielkie zasługi, jakie położył około nauki astronomiczej, w krótkich umieścili słowach: „Nicolaus Copernicus Terrae Motor, Solis Coelique Stator“. Kopernik bowiem pierwszy dowiódł, że ziemia obraca się około słońca, które stoi w miejscu; Kopernik dowiódł, że ziemia jest okrągłą, a nie, jak uczył Ptolomeusz, płaską; Kopernik pierwszy uporządkował system planetarny w wielkiem swem dziele „De revolutionibus orbium coelestium“ — o przewrotach ciał niebieskich.

W tej jasnej, jak słońce, kwestyi, a podanej w wątpliwość przez monarchę bawarskiego, nastąpił wkrótce zwrot ku stronie prawdy dziejowej i sprawiedliwości. Uczeni nasi, Adryan Krzyżanowski i Dominik Szulc wydali niebawem gruntowne dzieła, w których zebranemi faktami stwierdzili prawdę historyczną, i udowodnili, że Mikołaj Kopernik jest Polakiem. Schlachetny i uczciwy Ludwik bawarski kazał usunąć z walhalli posąg Kopernika.

Cóż więc wobec tego pięknego czynu monarchy bawarskiego powiedzieć o uczonym Niemcu Prowe, który w piśmie „De Copernici patria“ — o ojczyźnie Kopernika, wydanem w Toruniu roku 1860 zbija, jak mówi — „uroszczenia“ Polaków i dowodzi, że Kopernik jest Niemcem? Czyż to pismo nie jest urąganiem się z prawdy historycznej i wymierzeniem jej policzka? Toć p. Prowe patrzał na pomnik wystawiony Kopernikowi w r. 1853 w naszym Toruniu, a jakiej narodowości był wielki astronom, mógł, nie zaglądając nawet do dzieł jego i innych dokumentów, dowiedzieć się, że ojczyzną Kopernika była Polska. Aleć szał germanizacyjny, dzisiejszy hakatyzm, chce być ślepym i depce nogami uczciwość, przekręca, fałszuje dzieje — wszystko i wszystkich sobie przywłaszcza.

Mikołaj Kopernik urodził się w r. 1473, dnia 19 lutego w Toruniu, gdzie ojciec jego, urodzony w Krakowie, osiadł i miał wielki dom towarowy. Nasz astronom przykładał się do nauk astronomicznych od roku 1491 na wszechnicy Krakowskiej przez lat, jak się zdaje, cztery; od r. 1495 do 1500 słuchał prawa w Bononii. W r. 1497 zasiadł jako kanonik (był bowiem księdzem) w kapitule dyecezyi warmińskiej. W r. 1500 powrócił do Rzymu, gdzie miewał wykłady astronomiczne. Po krótkim pobycie w ojczyźnie swej polskiej udał się znów do Włoch, gdzie w Padwie poświęcił się nauce lekarskiej; w Ferrarze zyskał godności i tytuł doktora (doctor decretorum). Od r. 1506 przebywał przez lat 6 w zamku biskupa dyecezyi Warmińskiej, ks. Watzelrodego, którego był doradzcą w sprawach duchownych. Tutaj to dojrzały pomysły jego astronomiczne, a spisywał je w języku ojczystym, listy swe polskie przetłumaczył na łacinę i kazał je drukować w Krakowie. Po śmierci biskupa Watzelrodego udał się do Frauenburga, siedziby kapituły Warmińskiej, gdzie też spędził większą część życia, pisząc wielkie dzieła astronomiczne, jako to: De motibus orbium coelestium — o obrocie ciał niebieskich. Od roku 1516 mieszkał na zamku Olsztyńskim, gdzie prócz badań astronomicznych wykonywał zarząd nad rozległemi ziemiami, należącemi do dyecezyi Warmińskiej. Roku 1543, w miesiącu maju zakończył Kopernik żywota; zwłoki jego spoczęły w podziemiach kościoła katedralnego w Fromborku.

My Polacy zawsze sprawiedliwi, nigdy nie zazdrośni o sławę innych narodów, umiemy także cenić i należyte oddać pochwały ich mężom wielkiej nauki. Uznajemy zatem i wielkie zasługi Niemca Keplera, położone w tej najtrudniejszej do nabycia wiedzy astronomicznej. Brak tylko miejsca w piśmie naszem nie pozwala nam obszerniej wskazać na to, czem właśnie **Kepler** zasłynął. Uważał się i ten astronom niemiecki tak samo, jak Newton, Galileusz i inni za ucznia Kopernika, którego dzisiejsi szowiniści niemieccy chcą koniecznie sobie przywłaszczyć. Kepler ułożył prawa o biegu planet (prawa Keplera). Urodził się w r. 1571, dnia 27 grudnia w mieście Wyrtembergu (w królestwie Wyrtemberskiem), umarł w Regensburgu r. 1630, d. 15 listopada.

Schiaparelli Giovanni Virginio, włoski astronom, ur. się r. 1835 w Savigliano w Piemoncie. Odznaczył się głównie tem, iż badał planetę Marsa i odkrył na niej kanały, zkąd możnaby wysnuć ten wniosek, iż Mars zamieszkały jest przez ludzi.



Sławni astronomowie.

Newton, Sir Izak (czytaj Niuton), Anglik, urodził się r. 1643, d. 5 stycznia. Wprowadził na nowe tory fizykę matematyczną i astronomią fizyczną; wydał dzieło o grawitacyi ciał, t. j. o przyciąganiu wszelkich ciał przez ziemię, umarł r. 1727, d. 31 marca w Kensington pod Londynem.

Tycho de Brahe, astronom szwedzki, urodził się r. 1543 w Knudstrup (pow. Schonen), jest on praktycznym założycielem

nauki astronomicznej, umarł r. 1601. d. 24 października.

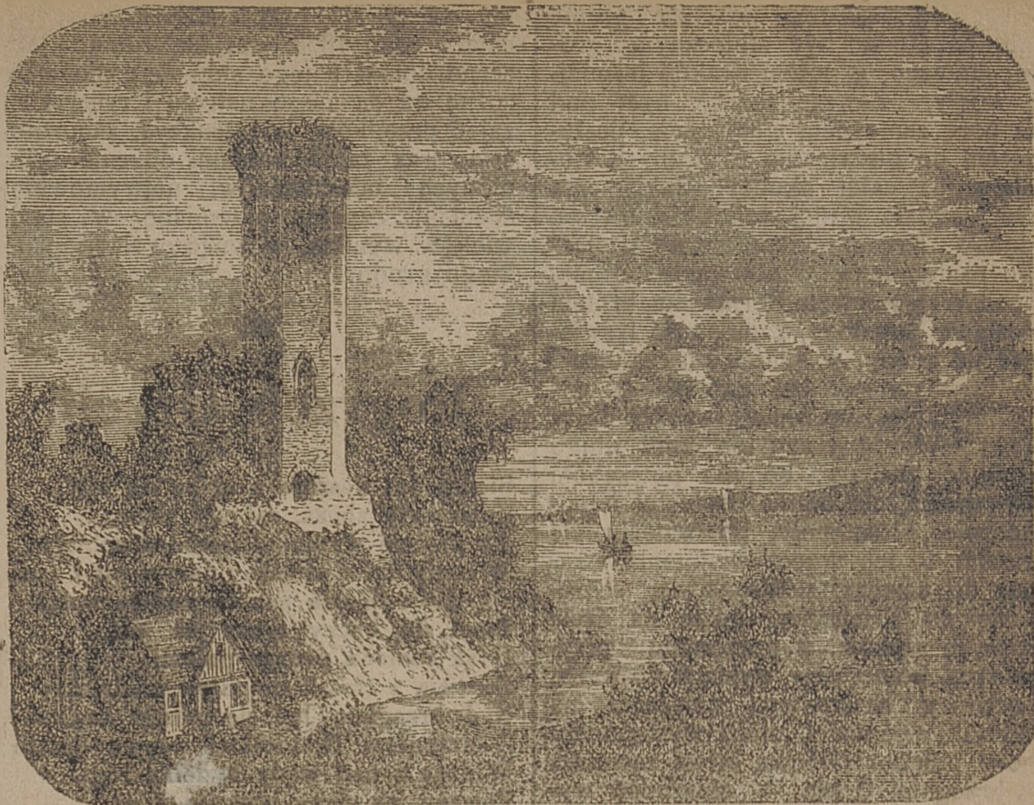
Astronom Fryderyk Wilhelm Herschel, Niemiec, ur. się w Hanowerze, umarł roku 1822, d. 25 sierpnia. H. sporządził największy i praktycznie najlepszy w użyciu olbrzymi teleskop, odkrył nową planetę Uranusa i dwa księżyce, obracające się około planet Saturna i Uranusa. Odznaczył się nadto poczynionemi badaniami nad słońcem, widnokręgiem, niebem, i badaniami o świetle i cieple.

Astronom włoski Galilei Galileo, urodził się w mieście Pizo we Włoszech r. 1564, d. 15 lutego, um. r. 1642, dnia 8 stycznia. Idąc za Kopernikiem, poparł naszego polskiego astronoma, wywodząc jasno i obszernie, że ziemia nie jest środkiem świata i nieporuszalna, przeciwnie, obraca się około swej osi w 24 godzinach, a w rok jeden około słońca. Nauka Galileusza napotkała na silny opór; osadzono go jako 68-go starca w więzieniu, a nawet podobno torturowano, ażeby wymódz na nim odwołanie twierdzeń, które z czasem uznano za prawdziwe i jedynie możliwe. Kiedy uwolniono go od męczarń, wyrzekł pamiętne te słowa: „eppu si muove", a jednak się (ziemia) porusza.

Kronikarz „Pracy."

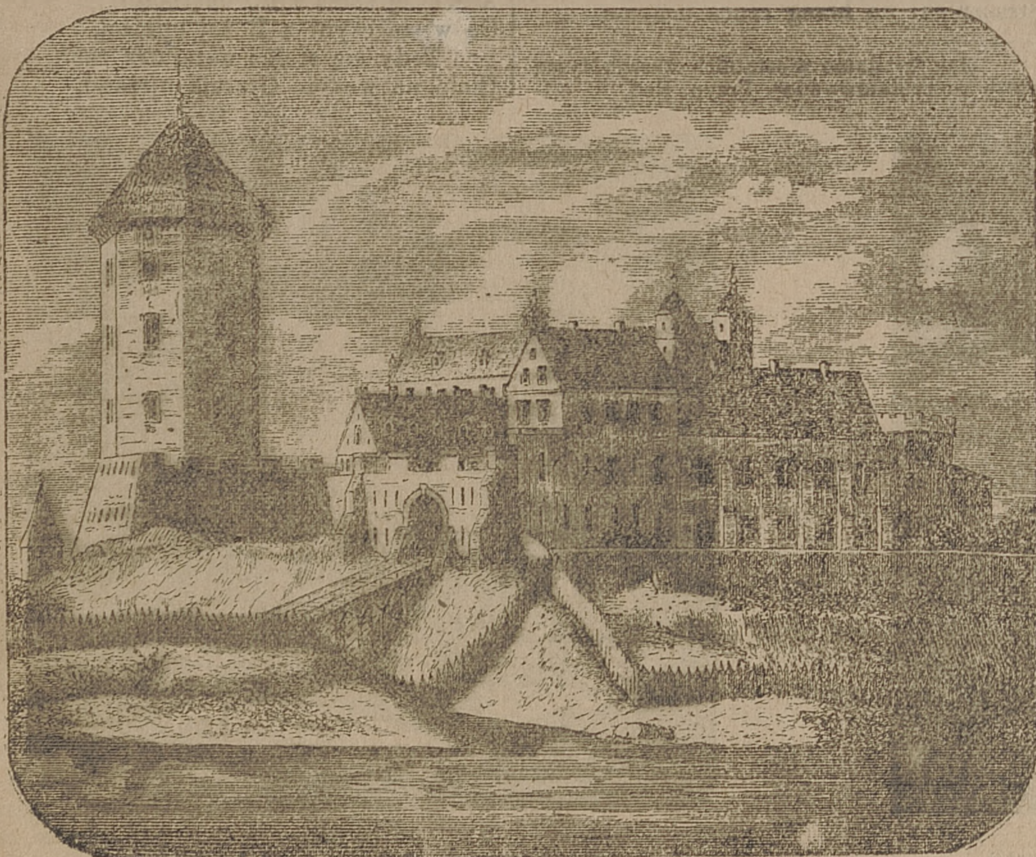


Kruszwica.



Widok na zwaliska zamku w Kruszwicy i na Gopło, zdjęty ze strony zachodniej.

Na rozłogach wschodniej części W. Ks. Poznańskiego, w kotlinie wyżłobionej przez najobszerniejsze jezioro, zwane Gopłem, leży Kruszwica. Bogata gleba ziemi, przynosząca rolnikowi hojny plon, od niepamiętnych czasów przyczyniła się do wyniszczenia w tej okolicy lasów. Pomimo też gęstych siół, przeglądających się w zwierciedle jeziora, ogołocone z drzewa nadbrzeża jego, czynią na wędrowcu smutne wrażenie. Powaga, rzecby można, wiejąca z tych nagich, równych wybrzeży, uspasabia do rozpamiętywania, do zatopienia myśli w głębinach zniknych epok. Wspomnienia zaś tłumem cisnące się w nasiąkłej bogatą przeszłością ziemi, potęgują jeszcze owe usposobienie. Czas obecny powoli rozpływa się w odblysku milionowych wspomnień, i wstają naraz z grobu zamarłe wyobrażenia, wypadki i krajobrazy.



Kruszwica w XVI wieku.

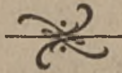
Bez kwestyi, cała niegdyś Nadgoplańska okolica, tworzyła jedno wiekie zbiorowisko wód. W pochodzie dopiero czasów spływają wody, a tu i owdzie na gładkiej ich powierzchni występują pagórki, bujną roślinnością zwieńczone. Jeziora obok znajdujące się: Mielno, Sleszyńskie, Lubstowskie, jakoteż cały ustrój kotliny Gopła, sąd ten wymownie wspierają. Wraz zaś z rozrostem przestrzeni zdolnej do uprawy, rozwinęło się życie w szczodrze od natury obdarzonej okolicy. Podania mgliste, niepewne, nakształt obłoczków szarzejących na widnokręgu, mówią o Kruszwicy w przedhistorycznych czasach. Rodzina Popielów miała w niej panować. Piast kołodziej, osiągnął tu berło po wygaśnięciu Popielów.

Ślicznie na tle pierwotnych dziejów naszych, rysuje się podanie o Piaście. Ubogi, pracowity rzemieślnik, zacnością i rozumnem gospodarstwem, przychodzi do panowania nad sercami i wolą współbraci. Miało się to stać w następny sposób: Przed tysiącem przeszło lat, wybór nowego pana, skupia do Nadgoplańskiego grodu tłumy ludu. Szybko szczupłe zapasy żywności wyczerpują się, i powstaje wielka drożyzna. Ale rządny kołodziej, jakkolwiek ubogi, zgromadził trochę zasobów; te więc ofiaruje ochoczo zagrożonym niedostatkiem współrodakom, którzy pomni na jego cnotliwe życie, i świeżo okazaną przysługę, powołują go do władzy. Praca, zacność i rozum uczczone tem podaniem; ono odkrywa zarazem ducha epoki, a raczej wyobrażeń istniejących u przedhistorycznych naszych przodków. Nie wielkość rodu i znaczenia, ale zdolność i użyteczność, miała w ich przekonaniu cenną wartość; wartość wynoszącą jednostkę przerastającą ogół przymiotami, do władzy nad tym ogółem.

Szeroko w tych zamierzchłych czasach bił blask potęgi i świetność Kru-

szwicy. Ze wzrostem wszelako granic kraju, przestała być stołecznym grodem; Gniezno, a potem Kraków jej miejsce zajęły. Zawsze jednak była pod ową porę zamożnem siedliskiem, posługującem do utrzymania rozlicznych stosunków dla całej okolicy. Jakiś czas nawet, istniała w niej stolica biskupstwa, zwanego Kruszwickiem, przekształconego następnie w Włocławskie. Dopiero pod Władysławem Hermanem, bratem Bolesława Śmiałego, zamożność i świetność jej znikły, w skutek kary za udział w występnym rokoszu naturalnego syna Zbigniewa, przeciw władzy ojca i króla. Wyrodny syn ten knuł długo szkodliwe zamiary, bo nie potrzebom społeczności, ale dumie osobistej odpowiadające. Następnie, po wzięciu się czynnem do ich urzeczywistnienia, zmuszony do ucieczki z Wrocławia, schronił się do Kruszwicy, gdzie na czele zbrojnych szyków, w połączeniu z przywołanymi Pomorzany, wystąpił do walki. Mieszkańcy Kruszwicy, niepomni na obowiązki wierności, nieśli występnemu synowi pomoc. Wielka bitwa zawrzała nad brzegami Gopła — słuszność wyszła z walki zwycięzko, a stara siedziba tworzącej się dopiero Polski, ciężko za winę swą odpokutowała. Świetność pierwotna nigdy już od tej chwili nie zawitała w odwieczne siedlisko. Nadbrzeżne wszelako położenie i urok przywiązany do prastarych jego murów nie pozwoliły mu runąć zupełnie. Do XVII wieku była zawsze miejscowością znakomitą — dopiero w nieszczęsnem najściu Szwedów, ostatecznie znikły zabytki szczęśliwych w niem czasów.

Obecnie małe miasteczko — to reszta grodu, imponującego przed wiekami. Jedyny pomnik ubiegłych czasów wieża, w podaniach ludu zwana mysią, piętrzy się ku niebu. Pomnik jakkolwiek nie sięgający epoki Popielowej, pochodzi jednak, jak konstrukcya jego wskazuje, z XIV stulecia. Przeznaczony pierwotnie na strażnicę wojenną, mógł posługiwać i ku oświetlaniu płynących jeziorem, nocną porą statków. W XVI jeszcze wieku, jak nasza rycina pierwsza wskazuje, znajdował się w dobrym stanie. Dziś, jak przedstawia druga rycina z roku 1863, stał się ruiną.*) Mizerne domki u jego stóp się wznoszące, różne od dawnego ustroju i rycerskich zajęć przodków, konstrukcyą, zamożnością, oraz zatrudnieniami obecnie osiedlonych mieszkańców, najwymowniej wskazują zupełną przemianę, w ciągu wieków wynikłą, w wnętrzu Nadgoplańkiego grodu. *O. D.*



Pogrzeb Grzeli.

Siedm dni deszcze z nieba się lały,
Zniszczyły zboża, zabrały siano;
Aż przecie wytchnął naród struchlały:
W ósmy dzień straszny deszcz ustał rano.
Lecz Warta jeszcze szaleje wciąż.
Pieni się, huczy, syczy jak wąż,
I tak rozlana pędząc polami,
Zerwała z trzaskiem młyn niedaleki;
Nad brzegiem lud się garnie kupkami,
Z drżeniem Niebieskiej wzywa opieki;
Widząc z nad wody bydełka rogi,
Patrząc jak siana pływają stogi.
A śród skupionej gromadki stał,
Parobczak, — imię Grzegorza miał,
Lecz we wsi głupim Grzelą go zwali:
Wielcy i mali.
Bo Grzela stronił od karczmy w święta,
Więc go i głupim zwały dziewczęta,
Bo Grzela w święta stroił swą skrzypkę,
I za wieś chodził grać se pod lipkę,
I tak niejedną grywał godzinę,
Aż sobie wygrał biedną dziewczynę.
Ona sierota tak jak i on,
Oboje rodem z tych samych stron.
Tak stał i Grzela nad Wartą wciąż,
A Warta huczy, syczy jak wąż,
I oto, dziwo! między belkami,
Nagle kolebka płynie z falami:
A z tej kolebki płacz taki leci,
Jak płaczą z bólu, lub strachu dzieci.
Aż oto! zaraz za tą dzieciną,
Płynie kobieta, belki się trzyma,
Krzyki jej w szumie bałwanów giną,
Strasznemi na brzeg rzuca oczyma...

A z brzegu jedni biegną po tyki.
Inni powrozów wołają z chat,
Tylko Grześ-głupi czulszy na krzyki,
Szybko się zewlókł ze zwierzchnich szat,
I wpadłszy w fale płynie i płynie,
Ku tej kolebce, ku tej dziecinie:
Bo ta kolebka wciąż się tak chwieje...
Za chwilę można stracić nadzieję.
Przypłynął, dziecko wziął w silną dłoń,
I tak z niem płynie przez straszną toń.
Przypadł do brzegu, oddał dziecinę,
I nim się rzucił w czarną głębinę;
Woła o powróz, a gdy go miał,
Do tej kobiety po falach rwał,
I głupi Grzela, choć był zziajany,
Po krętych wirach przez te bałwany,
Dognał nieszczęsną, powróz jej dał,
I tak z nią wraca, choć prawie mdlał.
Dotarł do brzegu, i zamiast wprzód
Wyjść, z głębin rwących na miałki bród,
Głupi-Grześ pomógł mdlącej kobiecie
Wyjść, by ujrzała co tchu swe dziecię.
Gdy potem na brzeg sam się dobywa,
Nagły się łoskot poza nim zrywa:
Belka się z belki zsunęła w prądzie,
I Grzesia ciężko rani przy lądzie,
Tak, że w znak pada znowu śród fali;
Krzyknęli strasznie, co zdala stali,
Bo Grześ już więcej nie wyjrzał z wody,
I tak dni skończył parobczak młody.

* * *

Nazajutrz Warta w cichej dolinie,
Jak zawstydzona, pokornie płynie,
Opadła zwolna fala po fali,
We wsi się każdy nad Grzesiem żali
I nikt go głupim zwać się nie waży;
Ciężko wzdychali młodzi i starzy,
A jak ta wioska, wioską na świecie,
O takiej cnocie słychu nie było:
Naraz ocalić matkę i dziecię,
Samemu zginąć!....
— Tak się złożyło.
— Tak się złożyło? O! moi mili,
Rzekł siwy sołtys, niech od tej chwili
Więcej tak wielkich cnót się układa,
A będzie szczęsną każda gromada,
Będzie szczęśliwy i cały świat,
Będzie miał skąpiej szkaradnych wad,
A więcej serca i tej chętności,
Co wiele czyni z Bożej miłości.
Tedy się stało: nazajutrz rano,
Ciało na wodzie Grzesia ujrzano,

*) Jak wiadomo w ostatnich czasach Myszą wieżę „odrestaurowano". Przyp. Red.



Grzela ratuje matkę i dziecko z powodzi.



Ksiądz smutnie słowa przeczytał z karty.

Jak wypłynęło z cichej głębiny,
Jak się wplątało między łoziny.
Więc bosakami je wydobyto,
I w prześcieradło białe spowito,
I tak złożono w chacie na ławie.
Zbiegło się luda, — ci patrzą łzawie,
Inni głowami kiwają smutnie:
A tylko jedna płacze okrutnie:
Było to dziewczę, dziewczę z pod lipki,
Co tak kochało Grzesiowe skrzypki
Płacze okrutnie, klęczy przy ciele:
— Otóż mi z Grzesiem teraz wesele!
O! mój ty Grzesiu, Grzesiu nieboże,
Komuż ja teraz serce otworzę!
Rybki ci były w wodzie druhnami,
Byłeś na godach z zielem — trzcinami!
Wianki ci splotły wodne lilije..
A ja po tobie gorzkie łzy pije...
O! mój ty Grzesiu, Grzesiu nieboże,
Komuż zbolałe serce otworzę!

* * *

Zeszły się babki stare zgarbione,
Śpiewały smutnie: „Pod Twą obronę“
I inne pieśni nucą żałośnie,
Że aż od żalu serce ci rośnie,
Że łzy nietylko ci pod powieką,
Ale i z serca kroplami cieką!
W głowach dwie świece woskowe gorzą,
W ręku obrazek miał z Matką Bożą,
A jeszcze w dłoniach obrączka biała,
Tak na serdecznym palcu błyszczała!
Wniesiono mary i trumnę białą,
I w niej złożyli Grzesiowe ciało,
I tak zabili w drewnianym grobie,
Z krzyżem na drogę, czarnym w żałobie.
Z kościołka jęczą dzwony żałośnie,
Smutniej niż puszczyk jęczy o wiośnie;
Czeka tam z księdzem gromada cała,
W chórze z organów pieśń śliczna grała.
Przed kościół przyszedł wózek z wołkami,
Stanął przed kruchtą między lipami;
Aż też ksiądz wyszedł z wodą święconą,
Z wieży na pochód już zadzwoniono,
Dwa płowe wołki z miejsca ruszyły,
I smutnie jakoś głowy zwiesiły.
Ale za księdzem dwoma rzędami,
Bractwo i cechy szły ze świecami:
Taka z nich jasność biła wokoło,
I tyle luda wyszło za ciałem,
Że nie słyszało od wieków sioło,
O tak chowaniu kogo wspaniałem.
Tedy ksiądz proboszcz śpiewa z wikarym,
I organista wtórzy ze strony,
A z wież wciąż jęczą zwyczajem starym,
Przy sygnaturce dwa wielkie dzwony.....
Oto i widać otwarte wrota
I krzyż rozciąga święte ramiona,
I mniejsze krzyże sterczą z za płota,
A matka ziemia już otworzona;
U dołu grabarz na rydlu wsparty,
Wołki stanęły już z trumną białą;
Ksiądz smutnie słowa przeczytał z karty,
I żegnał Grzesia mową wspaniałą.
A gdy „Odpoczynek“ mu odmówili,
I gdy na sznurach trumnę spuścili,
By święta ziemia lżejszą mu była,
Każdy porzucił garść matki ziemi,
Że się z tych garstek cała mogiła
Zamknęła wiecznie dłońmi bratniemi......
Takim pogrzebem gromada cała,
Grzesia sierotę ziemi oddała.

* * *

Już słońce zgasło, zniknął dzień biały,
Na niebie błyszczą zorze wieczorne,
Ciche mogiłki w koło leżały,
Jako w gromadzie owce pokorne.
I tylko jedno dziewczę zostało,
Świeży grób stroi bratków wiankami,
I klęcząc, ciężkim płaczem płakało,
Twarz zakrywając sobie rękami:
— O! mój ty Grzesiu, Grzesiu nieboże!
Komuż ja teraz serce otworzę!
Rybki ci były w wodzie druhnami,
Byłeś na godach z zielem, trzcinami!
Wianki ci splotły wodne lilije,
A ja po tobie gorzkie łzy pije...
O! mój ty Grzesiu, Grzesiu nieboże,
Komuż zbolałe serce otworzę!

S. W.



KRONIKA.

Po mowie od tronu atmosfera w Poznaniu jest tak przesiąknięta polityką, że i do mej tygodniowej gawędy się zakradła. Co prawda, zbyt wielkiego wrażenia mowa od tronu na mnie nie zrobiła. Ba! Gdybym był żył wówczas, gdy jeden z królów pruskich wypowiedział pamiętne słowa, o których atoli Prusacy bismarkowskiego pokroju pamiętać nie chcą: *„I wy macie posiadać ojczyznę i z nią dowód mego szacunku i t. d.“*, gdybym — powiadam — żył wówczas, a położył się do snu i nagle się przebudził w roku, powiedzmy 1899, mógłbym zdumieć nad ostrym tonem mowy od tronu — lecz dziś?! Czyż dla nas jest coś nowego w groźbach, zapowiedziach i czynach antypolskich? Od wielu lat je słyszymy, czujemy na naszej skórze, więc jedna groźba mniej lub więcej, jedno rozporządzenie mniej lub więcej, nawet wrażenia na nas nie robi. My — wbrew — a może właśnie z przyczyny tych gróźb — pracujemy dalej nieustannie, bo żyć musimy, to jest konieczność, a dusza w tym ucisku mężnieje, a zapał potężnieje — to także prosta konieczność, prosty wynik tej pruskiej polityki antypolskiej.

Nawet już przestaje nas dziwić, że ciągle mowa o uciskanych Niemcach — naturalnie my ich uciskamy — my — nie kto inny. Cóż znaczą roje urzędników, cóż milionowe fundusze dyspozycyjne, z których czerpią pełną garścią kupcy i rzemieślnicy Niemcy, cóż dodatki do pensyi, gratyfikacye za niemczenie?

My ich uciskamy!

My uciskamy ich naszym spokojem, z jakim pracujemy, z jakim pełni ufności wznosimy ręce ku niebiosom w modlitwie, z jakim przyjmujemy te wszystkie ciosy.

W tym spokoju jest olbrzymia niezwalczona siła i ta Niemców uciska.

Wyobraźcie sobie człowieka o nieczystem sumieniu, zdenerwowanego wysiłkami, aby to sumienie zagłuszyć, widzącego przed sobą swoją ofiarę mimo krzywd spokojną, dumną i niezachwianą! „Ona żyje, żyje ciągle — nie mogę jej zgładzić — ona mi urąga tym dumnym spokojem, tą twardą, jak skała wytrwałością!“ — woła człowiek o nieczystem sumieniu. — „Ona mię w końcu przygniecie swą wyższością moralną, swą czystością sprawiedliwą i wielką!“

Więc czuje ten ucisk moralny i szarpie się i uciska i zsyła na tę ofiarę roje.... pomocników, wali góry złota, aby ją stłumić, *aby nie dostać się pod jej koła,* jak to powiedział, kwiecistym stylem oracyjnym, odznaczający się pan Bülow.

Ale pan Bülow dostał trafną odpowiedź od posła Dziembowskiego: „Może dostalibyście się pod nasze koła, tylko że my już nie mamy ani wozu, ani kół, bo zabraliście je nam.“

Zwrot ten udał się panu Dziembowskiemu.

Nie mamy ani woza, ani kół, nie bardzo to wygodnie — boć znacznie przyjemniej jechać wozem o kolach — ile możności — na gumach, jak chodzić piechotą, ale chociaż nie mamy ni woza, ni kół, mamy *własne nogi i skoro na nich staniemy mocno — to i wóz pruski może nie potrafi nas przewrócić!*

Tak, mamy własne nogi — ale czy umiemy na nich stać?

Oto zagadnienie, które rzucam szanownym czytelnikom „Pracy“ — niechaj się nad niem zastanowią i doniosą do „Pracy“, co nam czynić wypada, aby stanąć na własnych nogach! —

W tych dniach ogłosił Komitet, zajmujący się rozsprzedażą kart gratulacyjnych, zastępujących telegramy, obszerniejsze sprawozdanie, z którego podaję tu fakta najgłówniejsze. Dochód czysty z tych kart rok rocznie bywa rozdzielanym na cele narodowe i dobroczynne. Ogólny dochód wynosił w przeciągu roku *1293 mk. 81 fen.*; a conto kosztów wydawnictwa otrzymał p. A. Rose 257 mk. 50 fen. — portorya wyniosły 20 mk. 75 f. — ogółem było rozchodu 278 mk. 25 f.

Pozostało do podziału 1015 mk. 56 f.

Z tego przeznaczono na:

Czytelnie ludowe	M. 100
Stacyą sanitarną	100
Dzieci wrzesińskie	200
Schronienie Nauczycielek	100
Fundusz Kościuszkowski	50
Gwiazdkę dla bied. dzieci tow. Stella	50
Książeczki dla biednych dzieci	50
Przytulisko dziatwy szkolnej	50
Kształcącego się Ślązaka	50
gimnazyastów toruńskich	50
szpitalik świętego Józefa	50
Żłóbek poznański	50
Żłóbek jerzycki	20
Żłóbek gnieźnieński	15
Przytulisko dla starców	30
dla biednej staruszki	10
dla chorej suchotnicy	10
dla biednej wdowy	9
dla biednej rodziny	20
ogółem	M. 1014

pozostaje na książce 1 Marka 56 fen.

Podaję powyższe dane dlatego, aby zachęcić jak najszersze koła do używania tych kart w miejsce telegramów. Tym bowiem sposobem pieniądze dawane dotąd poczcie tak bardzo nam nieprzychylnej idą na cele dobroczynne i pożyteczne.

Irydion.



TEATR.

(„Opiekunowie moralności“ komedya w 3 aktach Oskara Blumenthala i Gustawa Kadelburga, tłumaczył Hipolit Wojcicki. — Koncert pp. Eichstaedta i Piotrowskiego. — Koncert Lutni.)

Dla wyjaśnienia powiem z góry, że spółka autorska Blumenthal i Kadelburg zamierzała wydrwić grupę posłów popierającą tak zwaną „lex Heintze“. Przypuszczam, że o treści „lex Heintze“ nie potrzebuję się obszerniej rozpisywać, powiem tylko krótko, że owa ustawa miała na oku ukrócenie niemoralności szerzącej się w sztuce. Myśl dobra, lecz trzebaby na to mieć idealnych wykonawców, aby dobra myśl nie została spaczoną. Wystawmy sobie pruskiego policyanta jako sędziego w rzeczach sztuki, mającego osądzić czy moralne, albo niemoralne! Zatem pewnem jest, że wykonawcy byliby spaczyli myśl i zabili sztukę, albo podcięli jej przynajmniej skrzydła. Dlatego dobrze, że ustawa w tej formie upadła.

„Lex Heintze“ w parlamencie upadła‘ ale w czasie narad nad nią ławy parlamentu były przepełnione, komedya zaś traktująca o wnioskodawcach „lex Heinze“ nie upadła w teatrze naszym, ale nie zdołała zapełnić teatru tak, jak zwykle w sobotę bywa.

Nasi artyści grają tak starannie, z takiem przejęciem wykonują swe zadania, że i najgorsza sztuka idzie, a komedya: „Opiekunowie moralności“ nie należy do rzędu najgorszych utworów wyżej wymienionej spółki autorskiej. Dowcip w niej co prawda trochę niemieckopłaski, ale typy są niezłe i akcya żywa. Taki Wernicke — to prototyp głowy do pozłoty, pionka na szachownicy parlamentarnej, automatu mówiącego i myślącego na komendę zręcznych przywódzców. Pan *Czerniak* grał tę rolę bardzo sumiennie, ale niemieckiej „szlafmycy“ nie umiał stworzyć, za nadto w nim przebijał polski poczciwiec. Za to niezwykle trafnie uchwycił swą rolę p. *Zejdowski.* Powierzono mu rolę Hermana Kreibiga, właściciela dóbr. Jest w tej postaci trochę satyry i trochę nowożytnego, Falsktaffa — obie strony charakteru umiał p. Zejdowski uwypuklić bardzo wyraziście. Na grę pana Zejdowskiego patrzy się z prawdziwą przyjemnością. Widać w niej inteligencyą, wrodzony dowcip i humor i staranne wniknięcie w dany typ. Taki artysta to podpora nietylko każdej sztuki ale każdego teatru. Arcykomicznie działa też w komedyi posiedzenie opiekunów moralności — wszyscy reprezentanci opiekunów wywiązali się ze swych zadań zupełnie poprawnie. Panna Czechowska jako młoda mężatka rozwinęła dużo dźwięku i swobody. Bezbarwność roli znikła w zręcznem przez nią ujęciu. Mniej mi się tym razem wydała usposobiona do szczerej naiwności panna Miciańska, chociaż usiłowania utrzymania się w tonie roli, zasługują na uznanie. Zupełnie bez zarzutu był p. Stradiot, jako Hettner, więcej życia żądałbym od ciętego literata Ewalda (p. Klimontowicz) — pan Borawski nie miał zbyt obszernego pola do popisu. Całość była zajmującą i poprawną, co też o wystawie sztuki *powiedzieć* można.

Ubiegłego czwartku obdarzyli nas na sali Bazarowej koncertem młody artysta skrzypek, p. *Piotrowski*, i znany, wysoko ceniony pianista p. *Eichstaedt.* Nie będę oceniał osobno utworów wykonanych przez młodych adeptów sztuki, zadowolę się tylko kilku ogólnemi uwagami. Pan Piotrowski technicznie najzupełniej opanował swój instrument i z wielką subtelnością cieniuje każdy temat. Z pod smyczka jego płyną tony ciepłe, barwne, pełne śpiewności — brak tylko czasami silnego akcentu, uderzającego w duszę słuchacza potęgą i wielkością. Zasadniczym tonem jego gry to uczuciowość czasami za rozwiewna — ale artysta wstąpił dopiero na próg swej sztuki i wcale nie wątpię, że znajdzie się jeszcze w grze jego siła, na której czasami mu zbywa. Pan *Eichstaedt* zyskał na tym koncercie ogólne uznanie nie tylko jako dyskretny i umiejętny akompaniator, lecz także jako wykonawca takich utworów, jak „Karnawał mignon“ Schütta i marsz wojskowy Szuberta w opracowaniu Tausiga i utworu Chopina Andante spianata“ i „Polonez“. Pan Mieczysław Eichstaedt należy do pianistów oddających wiernie nad wszelki wyraz myśli mistrzów. Przytem technika, doskonałe rozumienie muzyczne podnoszą wykonanie na wyżyny istotnego artyzmu. — Obu koncertantów obdarzono kwiatami — i nagrodzono burzą oklasków.

W niedzielę dnia 12 b. m. odbył się zapowiedziany przez „Pracę“ koncert Lutni.

Koncert amatorski! Idzie się na taki koncert trochę z przeświadczeniem, że usłyszy się rzeczy niewykończone, niewypracowane, zdradzające dyletantyzm. Tem przyjemniejsze rozczarowanie, gdy tak nie jest. Wielka sala Lamberta zapełniona była najzupełniej, loże zajęte do ostatniego miejsca. Że ten koncert tak się udał, zasługa to czynnej i energicznej przewodniczącej Lutni, pani *Cichowiczowej.* Ona umiała dobrać siły wyborne, zyskać występ artysty skrzypka Piotrowskiego, ona umiała nadać całości piękne zaokrąglenie. Że chóry szły tak gładko, to znowu zasługa p. Mieczysława *Eichstaedta*, pod którego batutą chóry występowały. Z popisów chórowych podobała się pięknie wykonana pieśń o Żmudzi p. B. Dembińskiego. Partyą solową śpiewała bardzo ładnie p. *Natalia Czarlińska.* Gra na fortepianie pani dr. O. ze Środy szczery zyskała aplauz, lecz „clou“ wieczoru był śpiew pani *Pomorskiej* z Ostrowa, młodej mężatki, przybyłej do nas od niedawna z nad uroczych brzegów Lemanu. Czystość głosu, dźwięk metaliczny, dobra szkoła, umiejętna dykcya sprawiły, że publiczność zachwycona domagała się natarczywie naddatków, które artystka, bo tak ją śmiało nazwać można — łaskawie dodała. O grze pana *Piotrowskiego* nie będę już mówił, ponieważ obszerniej pisałem o niej powyżej. Dodam, tylko, że artysta był śmielszym, niż na pierwszym koncercie i w grze jego przebijała się siła większa, niż przy poprzednim występie. Jestem przekonany, że p. Piotrowski stanie niezadługo w rzędzie Barcewiczów i Piecznikowów. — Po koncercie bawiono się ochoczo w hotelu francuzkim.

Pani *Cichowiczowa* zasługuje na największe uznanie za pracę około podniesienia pieśni polskiej.

Widz.



Kochajmy się.

(Polonez.)

Kochajmy się, bracia mili!
Zgoda, jedność od tej chwili,
Od pałaców, w chatki kmieci —
Kochajmy się — niech głos leci —

Któż to nam może przeszkodzić
Z bratem się swoim pogodzić?
Z nim się cieszyć lub weselić,
Z nim los, mienie, życie dzielić?

Kochajmy się tylko wzajem —
Każde miejsce będzie rajem,
Bo gdzie wejdzie miłość, zgoda,
Tam wnet wchodzi i swoboda.

A gdy nas ujrzy złączonych,
Wiarą miłości spojonych.
Ufajmy śmiało w tej porze,
Że i Bóg nam dopomoże.

Antoni Górecki.



PIJACZKA.

Powieść w II częściach.

Z francuzkiego przetłomaczona dla „Pracy“ przez Laurę Zejdowską.

(Przedruk wzbroniony.)

2)

Część I.

Nieszczęśliwa matka.

(Ciąg dalszy.)

Pewnego dnia, kiedy siedziała przed lustrem, szukając śladów dawnej urody, ujrzała w niem obok siebie poczciwą twarz przyjaciela Jana.

— Ah, Janie, to ty! Powiedz mi, powiedz, co to wszystko znaczy?

Ale on milczał i długo patrzał na nią ze smutkiem — i przygnębieniem...

— Nie wiem, nic nie chcę wiedzieć; Karolino, przyszedłem tu, żeby ciebie zapytać... ale teraz widzę niestety, że... mówią prawdę.

— Ale co — co? błagam cię, powiedz mi Janie?

— Nie, nie, ja nie mam odwagi... przebacz mi Karolino, nie mogę...

— Janie... Janie, ty jesteś moim jedynym przyjacielem, miej-że litość!

Niestety, cóż mógł jej powiedzieć, że od dawna śledził ją, zdaleka badał, a teraz, patrząc na nią z blizka zbyt jawne miał dowody, że plotka była prawdą... A przed tą rzeczywistością on nie miał sił dłużej pozostać i pomimo jej prośb uszedł śpiesznie z rozpaczą w sercu, powtarzając sobie:

— Nie, nie... ja nie mogę, nie chcę w to wierzyć!...

Od tej chwili Karolina zaprzestała zupełnie wychodzić z domu, siedziała całemi dniami na tarasie pogrążona w niemej boleści, tak, że nawet widok dzieci, ich szczebiot, ich niewinne zabawy nie robiły na nią wrażenia. Widziała często, jak Matis krążył koło jej domu zdaleka, lecz i to nawet stało się dla niej obojętnem.

Jedyną istotą, która miała do niej dostęp, była stara Katarzyna, to też wszędzie, gdzie się ukazała, zasypywano ją pytaniami:

— A czemże to upija się ta Pijaczka?

— Ależ ona pije tylko czystą wodę.

— Aha! tak tylko mówicie, a może ona w nocy schodzi do piwniczki, bo zawsze od rana jest pijaną!

Minęło 15 dni, podczas których Karolina nie widziała ojca Langeraume, aż pewnego wieczora ukazała się nad balustradą głowa poczciwca.

— Dobry wieczór pani, oto jestem; znów rozpalamy nasze piece...

Nazajutrz po górach, dolinach krążyła biała chwiejna postać wybuchając co chwila dzikiemi okrzykami i znów brzmiał naokoło szept złowrogi „Pijaczka“... wtedy ona resztkami przytomności chwytała ten wyraz i uciekała przed nim w ciemny las coraz dalej... dalej, a kiedy bez czucia padła na mchy leśne, zdawało się jej, że pochyla się nad nią wstrętne, nienawistne oblicze, krzyknęła przeraźliwie „Matis“ i pewną była, że umiera!

Kiedy się zbudziła, noc już ciemna zapadła, zerwała się jak szalona i pędem biegła do domu; nie miała pojęcia, dlaczego się tam znalazła, to jedno tylko pamiętała, że miała jakiś sen straszny, że w tym śnie prześladowało ją oblicze jej wroga!

W domu zastała starą Katarzynę, która czuwała nad dziewczynkami, ona to od dłuższego czasu zajęła się opuszczonemi przez matkę bliźniaczkami, a każdy powrót Karoliny z jej tajemniczych wycieczek przyjmowała z pogardliwem milczeniem.

Czasem kiedy jej było w nocy zbyt duszno w pokoju, siadała na fotelu na terasie, ale i tam, choć zawroty głowy miała mniejsze, nie przestawały ją prześladować jakieś widziadła. A zawsze wtedy była prawie pewną, że widzi przy sobie Matisa, który obejmował ją spojrzeniem i szeptał: „Kocham cię, kocham!“

Minęło lato, przyszła już jesień, zdrowie Karoliny ciągle było w jednakowym stanie. Zima nadchodziła, a ojciec Langeraume pożegnał ją temi słowy:

— No, nie zobaczę pani już prędko, zagasiłem ognisko na całą zimę, do widzenia pani aż do wiosny, życzę zdrowia.

Biedna zwiędła lilijka powoli podnosiła główkę, wracały siły, inteligencya i chęć do życia.

Karolina odetchnęła swobodniej, zajęła się dziećmi i domem. Jakże się czuła szczęśliwą, jakże sobie była wdzięczną, że mężowi nie donosiła nic o swojej chorobie, pisywała do niego listy pełne tęsknoty, miłości i dziękowała Bogu za odzyskane zdrowie. Oh, bo ona pewną była, że to Bóg cudem wyratował ją od waryacyi, to też ze strachem odpychała od siebie wspomnienia! Ale pewnego dnia nowa rozpacz jak piorun spadła na nią i doprowadziła do nowego szaleństwa, od dłuższego czasu ogarniał ją dziwny niepokój, ale ona sama nie chciała dać temu wiary, teraz niestety była pewną...

Karolina czuła, że będzie matką! Któż teraz uwierzy w jej niewinność, nikt, nawet ten mąż najmilszy na oddalonych krańcach Australii. On, ten człowiek uczciwy, ten, co ją tak kochał i ufał jej bez granic! Postanowiła umrzeć!

Wieczorem ułożyła ukochane dziewczynki w ich pokoiku na piętrze, a kiedy zasnęły pochyliła się nad niemi, chcąc je ucałować na ostatnie pożegnanie, gdy nagle Luiza i Klara wiedzione dziwnem przeczuciem zawołały przez sen „Mamo! Mamo“!... Zadrżała i stanęła, one zerwały się z łóżeczka, rzuciły ku niej objęły i wołały wśród płaczu:

— Nie, nie Mamo nie odchodź!

Pozostała, uspokoiła je, ale kiedy pewną była, że śpią spokojnie, spiesznie porzuciła dom i biegła w stronę rzeki. Lecz co to, w nocnej ciszy odezwał się straszny, pełen rozpaczy krzyk dziecinny:

— Mamo, Mamo, gdzie jesteś?

Jak szalona rzuciła się z powrotem do domu, te dwa głosy dziecinne wróciły jej przytomność, miłość matki zwyciężyła.

Znalazła je na terasie zziębnięte, przestraszone, porwała je w ramiona, uniosła swoje skarby do domu, ułożyła do łóżeczek, pieściła je, uśmiechała się do nich ze słowy:

— Spijcie spokojnie, już od was nie odejdę, moje najdroższe.

Pod koniec zimy przybył do białego domku nowy gość... syn, któremu Karolina dała imię Henryka, a w kilka dni potem u drzwi jej mieszkania stanął przyjaciel lat dziecinnych Jan Berthelin i na widok dziecka wymówił tylko jedno, jedyne słowo:

— Karolino!

Ale w dźwięku tego jednego wyrazu tyle się mieściło bezdennej rozpaczy, że na ten widok twarz biednej ofiary pokryła się śmiertelną bladością.

— Janie, nie mów mi nic, o nic nie pytaj! Idź sobie, to tylko pamiętaj, że jestem niewinną!

Odszedł i ona więcej nie pragnęła już go zobaczyć.

Wróciła wiosna, wonna, jasna, białe ściany domku pokryły się znów zwojami bluszczy i powoi, zaszeleściały listki drzew w dolinie, a na ich gałązkach śpiewały słowiki.

W cichy, ciepły wieczór znów Karolina siedziała na terasie i znów nad balustradą ukazało się wesołe oblicze starego robotnika ze słowy powitania.

— Witamy panią, wiosna wróciła, wracamy i my do naszej roboty!

Na drugi dzień listonosz wręczył Karolinie list, na którego widok serce jej zabiło z szalonej radości, to było pismo Jerzego, otworzyła list drżącą ręką i oto co przeczytała:

— Piszę do Ciebie po raz ostatni, ukochana moja, przyjadę nie długo, list ten to już ostatni. Cóż to za szczęście, zaledwie mogę w nie wierzyć, radość ta przeraża mnie.

Oh, Karolino, moja żono uwielbiana, kocham Cię! kocham!

To list ostatni... więc on już pewno w drodze... wiadomość ta, która by ją dawniej tak bardzo ucieszyła, dziś napełniła rozpaczą, Karolina wybuchnęła szalonym śmiechem!

— Zwaryować ach, gdybym mogła zwaryować, żeby już nie wiedzieć o niczem!

Chodziła kilka dni jak nieprzytomna, odczytywała ten list i powtarzała:

— Kocham cię, kocham cię!

Nagle mały Henryk, który chował się zdrowo, zaczął miewać dziwne duszności i różne objawy chorobliwe. Kar

miła go sama i sypiał przy jej łóżku w kołysce ten nieznajomy przybysz! On to był teraz powodem jej rozpaczy, tam w tej bieli batystów spoczywał ten, który zdruzgotał jak piorun całe jej życie i szczęście. — A jednak pomimo wszystkiego ona go kochała, czule i troskliwie pielęgnowała, bo w sercu matki są skarby nieprzebrane przebaczenia i miłości!

Ponieważ choroba dziecka robiła coraz większe postępy, zawezwała doktora Renneville, który zbadał je troskliwie, ale na matkę spoglądał nieprzychylnie jakby mówił:

— Nic dziwnego, dziecko Pijaczki.

Wypytywał Karolinę o wszystkie objawy choroby, które wprowadzały go w zdumienie i zamyślenie, gdyż dawały wyraźne dowody zatrucia czy zaczadzenia... Opowiadała mu, że w nocy maleństwo miewało tak silne duszności, że pewną była, że ich nie przetrzyma, dopiero kiedy otwierała okno świeży powiew wiatru przynosił mu ulgę.

Stary doktór, chociaż trochę gwałtowny, był zacnym i uczonym człowiekiem, praktyką zajmował się z zamiłowania, gdyż miał duży osobisty majątek, to też w całej okolicy szanowano go i kochano.

Cierpienia biednego maleństwa widocznie nasunęły mu jakieś dziwne myśli, bo z matki nie spuszczał swego zimnego, badawczego wzroku, jakby chciał coś mówić, lecz odpychał od siebie straszne posądzenie, któremu nie mógł jeszcze dać wiary. Siadł, żeby zapisać środki zaradcze, gdy raptem sam uczuł się niedobrze, rozwiązał pospiesznie szal na szyi, gdyż krew uderzyła mu do głowy i wzrok zaćmiła, wyszedł pospiesznie i dopiero na powietrzu odzyskał przytomność. Przez drogę do domu ciągle myślał nad chorobą dziecka, które pragnął szczerze ratować przed czemś nieznanem, co groziło jego życiu.

Wieść o chorobie maleństwa szybko się rozeszła, a chociaż doktór nic nie mówił o swoich posądzeniach, zaczęto robić rozmaite wnioski, aż wymówiono głośno wyraz, którego stary doktór nie śmiał jeszcze wypowiedzieć... „trucizna"! Wiedziano przecież, że Jerzy Lamarche wróci lada dzień, wtedy zdradzony mąż stanie wobec występnej żony. Gdyby dziecko umarło przed jego powrotem, Karolina mogłaby, zabrawszy córki, wyjechać na jego spotkanie i pod jakimbądź pozorem nie dopuścić męża do białego domku. Mocą miłości mogła zmusić go do osiedlenia się w innej okolicy, gdzie nie doszłoby do niego żadne przeciwko niej oskarzenie... Dlatego to szeptano wszędzie:

— Ona je zabije... dziecko już chore... trucizna!

Karolina nigdzie nie wychodziła, nie wiedziała o niczem, ona nie żyła już życiem codziennem... myśli się jej mięszały i zwracały ciągle w punkt jeden... widziała przed oczyma wielki, olbrzymi okręt, bujający się na falach Oceanu, który zbliżał się do brzegów Francyi. Na pokładzie stał człowiek i w gorączce oczekiwania wypatrywał lądu ukochanej Ojczyzny! Ten człowiek to był jej mąż!

Liczyła dnie, godziny, a on się zbliżał, wyciągał do niej ramiona, aż pewnego dnia powiedziała sobie:

— Dziś okręt przybił do brzegów Marsylii... jutro Jerzy tu przybędzie!

ROZDZIAŁ II.

POWRÓT MĘŻA.

Pociąg pośpieszny Paryż—Bordeaux wjechał na stacyą Ś-go Piotra o godzinie 12-ej w południe. Z wagonu drugiej klasy wysiadł mężczyzna około 30 lat mający, o wyrazie twarzy energicznym i inteligentnym. Nie miał z sobą żadnych bagaży, nawet ręcznej walizki, gdyż chcąc się pozbyć kłopotu, wyprawił je z Marsylii prosto do domu.

To był Jerzy Lamarche.

Przeszedł na drugą stronę stacyi i wsiadł do innego pociągu, którym dojechał do Tours.

Na stacyi w Tours rozejrzał się szybko wokoło i spojrzał na zegarek, lecz widocznie spotkał go jakiś przykry zawód, gdy rozjaśnione jego przed chwilą oblicze pokrył smutek.

— Myślałem, że Karolina przyjedzie tu na moje spotkanie — powiedział sam do siebie — ale czegóż się martwię, jakiż ja dziecinny, przecież ona nie wiedziała dnia mego przyjazdu, zresztą może z powodu dzieci nie mogła przybyć, ale dlaczegóż nie przysłała po mnie koni którego z sąsiadów? Dobrze, że rzeczy wyprawiłem, tym sposobem łatwiej mi będzie pieszo dojść do domu. Jak to dobrze, że nie telegrafowałem, teraz zrobię jej radosną niespodziankę.

Bez chwili zwłoki puścił się w drogę.

Znał on dobrze te strony, tu się urodził, tu wychował, a teraz wracał w te ukochane okolice, gdzie zostawił całe swoje szczęście, wracał bogaty w wiedzę, pełen wiary w lepszą przyszłość, witał z radością każdy znany mu zakątek, każdego poznawał przechodnia, chociaż oni na jego powitania odpowiadali tylko obojętnem skinieniem głowy.

Nic dziwnego; zapuścił brodę, zmężniał i zmienił się przez te 4 lata.

Na drodze zaturkotał wózek, Jerzy poznał młynarza Pawła, jadącego z żoną do miasta.

— Witaj, witaj Pawle — zawołał z radością. — No, ten chyba mnie pozna — pomyślał.

Paweł zatrzymał wózek, zeskoczył, lejce oddał żonie, popatrzał bystro na Jerzego i podał mu obie dłonie.

— Ah! to Jerzy Lamarche, patrz żono, to mąż tej pij.... Nagle się zaczerwienił, zamilkł i patrzał na Jerzego ze współczuciem.

— No, jakże! cóż tam słychać; moja żona, dzieci czy zdrowi wszyscy? mów, mów!

— Tak... tak, wszystko dobrze — mówił zmieszany młynarz... — Nareszcie wracasz... czy nie pisałeś o swoim powrocie do tej pij... do twojej żony?

— Nie oznaczyłem dnia powrotu, chciałem jej zrobić niespodziankę!

— O! tak będzie też miała miłą niespodziankę — zaśmiał się młynarz, poczem śpiesznie pożegnał Jerzego, a siadając na wózek, powiedział z cicha do żony:

— Biedny chłopiec!...

Jerzy poszedł w dalszą drogę, ale zmięszanie Pawła i ostatnie jego słowa nie uszły jego uwagi, był czegoś zaniepokojony.

Czyżby go czekało jakie zmartwienie, nieszczęście może? Tak dawno nie miał wiadomości od Karoliny, może chora, może która z dziewczynek nie żyje?

— Boże! Boże!

Nagle odezwał się głos dzwonu z kościołka doliny, czyżby kto umarł w tej chwili we wsi?

Kto... kto? może jedna z jego ukochanych... nie, nie, precz te smutne przeczucia... prędzej... prędzej do domu. Ale któż to schodzi z góry to Jan Berthelin, przyjaciel Karoliny z lat dziecinnych, dobry jego znajomy.

— Hej, hej Janie! Ah! jakże się cieszę!...

— Jerzy... to ty Jerzy!...

Popatrzeli na siebie w milczeniu.

Jerzy zatopił w oczach Jana błagalne spojrzenie, jakby chciał powiedzieć:

— Jestem dzielny, uczciwy, dobry chłopiec, zasługuję teraz na trochę szczęścia, nie powiedz mi coś... coś takiego, coby mnie mogło zmartwić!

Wreszcie przemówił:

— Janie, powiedz mi, że Karolina zdrowa, że żyją moje ukochane dzieci. Pociesz mnie, upewnij... miej litość, ja się tak boję...

Jan spojrzał na niego jak na skazańca, któremu musi oznajmić wyrok śmierci, poczem zawołał gwałtownie:

— Poco ty tu wróciłeś? Uciekaj tam daleko, wracaj do Australii, dalej jeszcze, przestań się zajmować temi, co tu pozostali, idź gdzie cię oczy poniosą, tylko nie do twego domu, tylko nie tam. Powiedz sobie, że tu wszystko dla ciebie umarło i uciekaj!

— Janie słówko... jedno... powiedz...

Ale Jan nie słuchał i śpiesznie uchodził.

Biedny człowiek przerażony, zgnębiony, ze straszną rozpaczą i niepewnością w duszy, nie miał już sił iść dalej, opadł na kamień przy drodze i pogrążył się w osłupieniu bolesnem! Ludzie przechodzili koło niego i poznawali go, szeptali, on nic nie słyszał, nie widział nikogo, nie miał odwagi pytać ich, nie miał sił iść do domu, bo czuł, że tam dowie się jakiejś strasznej nowiny!

O tej samej godzinie Karolina klęczała przed kołyską, w której spoczywał zmarły przed chwilą Henryk. Biedne maleństwo skończyło życie wśród wielkich męczarni, objawiających wyraźnie dowody otrucia lub zaczadzenia trującemi gazami.

Karolina czekała dzień cały na męża, z każdą minutą zwiększała się jej rozpacz, godziny biegły za godzinami słońce zaszło, a on nie przybywał.

— A może już dziś nie przyjedzie — szeptała nieszczęśliwa istota — tem lepiej... aby nie dziś — i modliła się z całego serca, prosząc Boga o zmiłowanie.

Ale on się zbliżał... już był niedaleko, ludzie go sobie pokazywali i mówili:

— To on, to mąż!

Wieczór już zapadł, na zegarze kościelnym wybiła ósma godzina.

ROZDZIAŁ III.

SENNE ZYCIE.

Zamek Fénestrel jest jednym z najpiękniejszych zabytków, jakie nam zostawił styl „Odrodzenia.“ Główna jego fasada, wsparta na kolumnach, tworzy na drugiem piętrze rodzaj galeryi i balkonów, biegnących wzdłuż całego budynku.

Olbrzymie drzwi, prowadzące do szerokiej klatki wschodowej, pokryte są wspaniałemi płaskorzeźbami i arabeskami, na które snycerz-artysta poświęcił całą swoją wiedzę i artyzm. Gdzie tylko zwrócić spojrzenie, napotyka się miłą harmonią, a nic nie razi przesadą, słowem, mamy przed sobą rodzaj arcydzieła budownictwa dobrego gustu i poczucia stylu.

U stóp doliny, w której stoi zamek przepływa rzeka pośród drzew pięknego parku, a jego cieniste aleje dają w skwarne dni letnie miły odpoczynek wśród szmeru wody i zapachu kwiatów. Zamek Fénestrel należy do hrabiego Huberta de Thiellay, jako też i wielkie wiejskie posiadłości tworzące wraz z zamkiem jedną całość, jedną z najznaczniejszych w tej stronie kraju.

Hrabia mający koło lat 40 ma wygląd poczciwego dziecka, nie przedstawiając na pierwszy rzut oka nic wybitnego lub godnego uwagi. Dosyć wysoki i barczysty wydaje się pomimo to zupełnie małym z powodu nadmiernej tuszy i szerokich ramion. Włosy czarne nosi krótko obcięte, a wyraz twarzy ma pełen dobroci o poczciwym uśmiechu i łagodnem spojrzeniu, w którem wyczytać łatwo wysoką inteligencyą i wrodzoną dystynkcyą. Wieśniacy mówili o nim:

„On razem ze swoim trzykroćstotysięcznym rocznym dochodem mógł by być bardziej dumnym i niedostępnym, a jednak jest przeciwnie.“

Hrabia Hubert jest skromnym i dobrym. Mógł prowadzić życie bezczynne, bezcelowe, jak to robili i robią potomkowie wielkich rodów, a on nienawidził próżniactwa i z całym zapałem rwał się do pracy, do zajęć rólnika. Dzień spędzał na koniu w objazdach swoich posiadłości, dozorował winnic, pól i lasów, wprowadzał ulepszenia i odmiany, a to życie na wolnem, świeżem powietrzu było jego radością i jedyną namiętnością.

Ubrany zawsze jak każdy z jego wieśniaków, bez elegancyi i zbytku uchodził ten milioner za szkaradnego skąpca, lub oryginała, co jednakże nie było prawdą, gdyż hrabia o ile na siebie wydawał bardzo mało, stawał się po prostu rozrzutnym, gdy szło o zaspokojenie fantazyi lub kaprysu uroczej królowej tego zamku, Klotyldy Thiellay, jego żony.

Zaślubiła ona hrabiego bez miłości, tylko dla jego nazwiska i majątku, z biegiem czasu małżeństwo zamiast ich zbliżyć do siebie wytworzyło między nimi jeszcze większy rozdział. Zbyt wiele było tam niezgodności upodobań, odmienności charakterów i myśli. Piękna wytworna Klotylda pragnąca zabaw, zwycięztw i kokieteryi nic nie miała wspólnego z oddanym pracy hrabią Hubertem. W dwa lata po ślubie przyszedł na świat syn, któremu dano imię Urban. — Klotylda nudziła się w zamku Fénestrel chociaż z góry była uprzedzoną co ją czeka, gdyż Hubert przed ślubem powiedział do niej:

— Nigdy i nigdzie nie zamieszkam, tylko w Fénestrel. Będziesz prowadzić życie w dostatkach, które postaram się uprzyjemnić ci na każdym kroku, ale nigdy nie przeniosę się do miasta, więc się zastanów zanim zostaniesz moją żoną.

Ona bez zastanowienia odpowiedziała mu „tak,“ gdyż była pewną, że uczyni z nim z czasem co zechce, ale nic nie przełamało jego woli, chociaż kochał ją głęboko i prawdziwie. Nie zgodził się nawet na spędzenie zimy w Paryżu, co Klotyldę doprowadziło do rozpaczy; uważała się za nieszczęśliwą ofiarę i na każdym kroku dawała poznać hrabiemu, jak pogardza jego życiem rólnika i prostemi zajęciami, którym się oddawał z takim zapałem. A jednak on stworzył jej życie godne księżniczki, za co ona wcale nie okazywała mu wdzięczności, przeciwnie postępowała tak, jakby chciała w sercu swego męża zabić dla siebie uczucie miłości i zatruć mu jego szczęście.

— Szkaradne „senne życie“, powtarzała urocza kasztelanka z Fénestrel, a myśli jej biegły w stronę rozbawionej Francyi.

Chcąc ją zabawić, hrabia Hubert postanowił wydać wielki, wspaniały bal kostyumowy, do którego tak bardzo nadawał się stylowy zamek odrodzenia. Dzień powrotu Jerzego Lamarche z Australii był dniem wielkiej uroczystości, na którą od dawna rozesłano zaproszenia do wszystkich posiadłości w okolicy. Od rana Hubert czuwał nad urządzeniem balu, to też niezwykle był zajęty, a chociaż myśl sprawienia przyjemności Klotyldzie powinna go była cieszyć, zdawał się być dziwnie zgnębionym i zamyślonym. Ranną040 pocztą odebrał list rekomendowany, podczas czytania którego, twarz jego pokryła śmiertelna bladość, a potem gniew i ból, tajony wobec posłańca co mu go doręczył. Lecz kiedy się znalazł sam rzucił list zgnieciony na ziemię i deptał go nogami w szalonej wściekłości, on co był zawsze tak spokojny i dobry. Po chwili zastanowienia podniósł list i spalił go starannie ze słowy:

— Nikt nie powinien wiedzieć o tem. Ah podły! Nędznik! Więc on żyje! A ja byłem pewien jego śmierci!

Udał się do swego gabinetu, gdzie zastał czekającą na siebie Klotyldę, widok wzburzonej twarzy hrabiego wywołał uśmiech ironiczny jego żony i te złośliwe wyrazy:

— Więc to myśl o balu dzisiejszym tak bardzo cię gniewa i smuci? Kiedy ja się bawię, ty się chmurzysz, a kiedy płaczę z nudów tego „sennego życia“, ty jesteś wesoły i pełen radości...

Spojrzał na nią z żalem i wyrzutem.

— Mylisz się Klotyldo, twoja radość jest mojem szczęściem. — Poczem nie patrząc na nią wyszedł szybko. Patrzała za nim chwilkę zaniepokojona, a dziwny strach odbił się na jej dumnej postaci.

— Czyżby się czego domyślał wyszeptała z trwogą. — Było więc coś, jakaś tajemnica wplotła się w senne życie tej pięknej, oddanej na pastwę nudów kobiety? Ależ nie, nie, to nie możliwe, uśmiech rozjaśnił uroczą twarzyczkę i więcej już o tem nie myślała tylko o czekającej ją upragnionej zabawie. Hrabia szedł parkiem szybko ku rzece, minął robotników kończących przygotowania do balu i zagłębił się w samotne oddalone aleje, gdzie spędził blizko dwie godziny. Kiedy wrócił zdawał się jeszcze bardziej wzburzonym, a oczy jego nosiły ślady łez świeżo wylanych.

W górnych alejach zobaczył hrabia zbliżających się ku niemu dwóch mężczyzn, krórym towarzyszyła Klotylda, prowadząc z nimi ożywioną rozmowę. Był to Matis i doktór Renneville.

— Nie mogłem go ocalić mówił ten ostatni, a teraz obowiązek nakazuje mi uprzedzić o tem policyą.

— Jakto wierzysz pan w zbrodnię?

— Tak, ta nieszczęśliwa zabiła swoje dziecko!

— Ależ to straszne zawołała Klotylda.

Wobec tego oskarżenia tak okropnego i poważnego Matis nie był w stanie zachować spokoju, przykrył oczy dłonią i opadł bez sił na poblizką ławkę. Nikt tego nie zauważył prócz Klotyldy, hrabia wraz z doktorem postępowali dalej.

— Co to jest, co się panu stało, zapytała szeptem, cóż za dziwne wzruszenie?

— To nic, odpowiedział z wysiłkiem to radość... to myśl o szczęściu, jakie mnie dziś czeka... tak... tak podczas zabawy nikt nas nie zauważy...

Zbliżył się do niej, obejmował pożądanym wzrokiem i szeptał dalej:

— Będę ci mógł mówić, powtarzać, że cię uwielbiam... kocham.

Słuchała go w zachwyceniu z przymkniętemi oczami, a bladość pokrywała uroczą twarzyczkę na myśl spodziewanej radości, uśmiech wybiegał na usta gotowe do pocałunków.

(Ciąg dalszy nastąpi.)





Nekrologia.

Sp. Apolinary Działowski.

Bolesną otrzymujemy wiadomość. Oto po długich i ciężkich cierpieniach pożegnał żywot doczesny śp. Apolinary Działowski z Mirakowa w Prusach Zachodnich.

Sp. Apolinary Działowski należał do tych obywatali, którzy wytrwałą i gorliwą służbę publiczną pogodzić umieją z sumienną i systematyczną pracą zawodową dla rodziny własnej.

To też nie ma dzieła użyteczności publicznej, któregoby śp. Apolinary Działowski nie popierał nietylko groszem, lecz także zdrowem zdaniem i czynną zabiegliwością, a mimo to zdołał On otrzymane w spadku mienie nietylko zachować, lecz także znacznie pomnożyć, co u nas wielką jest zasługą.

Reprezentant jednego z najstarszych rodów szlacheckich, osiadłego od czasów niepamiętnych na ziemi chełmińskiej i wielce dla narodowej sprawy zasłużonego, wolny był przecież od uprzedzeń klasowych. Przeciwnie zrozumiał olbrzymią doniosłość, jaką dla naszego społeczeństwa ma rozbudzenie wśród ludu samowiedzy obywatelskiej i dlatego pismom ludowym zawsze szczerą okazywał życzliwość. Jego w znacznej mierze zasługą, że w Prusach zachodnich obyło się bez tak ostrego starcia różnych prądów społecznych, jakie gdzieindziej tyle szkód wyrządziło.

Zbytecznem byłoby dowodzenie, że tak gorliwy Polak patryota, jakim był śp. Apolinary Działowski, odznaczał się gorącem przywiązaniem do Kościoła i wiary ojców. Jaki duch panował w Jego domu, najlepszym dowodem fakt, że wyszedł z niego sługa ołtarza w czasach, w których kapłan Polak nie może liczyć ani na sute prebendy, ani na honory i zaszczyty. Sp. Apolinary Działowski szczególne objawiał zadowolenie, że w ten sposób rodzina Jego jeszcze silniejszymi węzłami związała się z Kościołem.

Niech Go Pan Bóg raczy przyjąć do chwały Swojej wiekuistej, a ziemia, którą tak ukochał, niechaj mu będzie lekką. Cześć Jego pamięci!

W ciężkim smutku pogrążonej rodzininie wyrażamy na tem miejscu szczere, niekłamane współczucie.

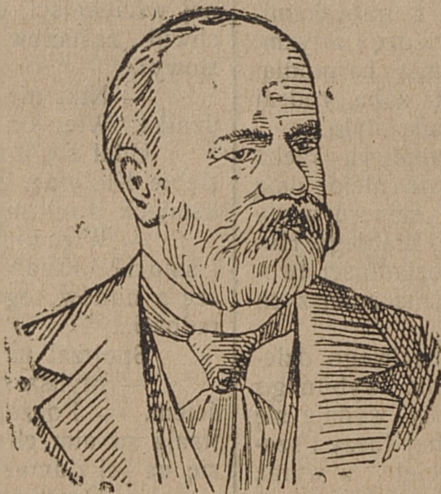
* * *

S. p. Jan Bloch.

Dnia 6 bm. umarł w Warszawie Jan Bloch. — Donosiliśmy już o tem w ostatnim numerze „Pracy“; dzisiaj, stosownie do przyrzeczenia podajemy wraz z portretem, jego życiorys.

Prezes kolei fabryczno-Łódzkiej rzeczywisty Radzca stanu, starszy urzędu zgromadzenia kupców miasta Warszawy, Jan Bloch, człowiek nadzwyczajnej pracy, energii i wytrwałości, który na polu rozwoju ekonomicznego Królestwa Polskiego w wysokim zasłużył się stopniu, urodził się w r. 1836 w Radomiu. Po ukończeniu gimnazyum realnego w Warszawie przyjął skromną nasamprzód posadę przy młynie parowym w Petersburgu, ale już tutaj odznaczył się różnemi przedsiębiorstwami i budowlami na kolei petersbursko-warszawskiej.

Budowy i administracye rozmaitych dróg żelaznych, między któremi budowa sieci kolei łączącej morze Czarne z Bałtyckiem na szczególną zasługuje uwagę, były dla niego głównem polem działania; świadczą one najwymowniej o olbrzymiej pracowitości Jana Blocha, będącej jedną z najgłówniejszych cech jego charakteru. Na tego rodzaju przedsiębiorstwach dorobił się zmarły znacznego majątku, znajdując przytem zawsze czas na zajmowanie się różnemi sprawami ekonomicznemi i finansowemi Królestwa Polskiego.



Ś. p. Jan Bloch.

Że stan finansowy i społeczno-ekonomiczny Królestwa znał nadzwyczaj dokładnie, dowodzi tego szereg prac i dzieł, które zmarły ogłosił, a między któremi dzieło „o dochodach i wydatkach eksploatacyjnych kolei rosyjskich“, powszechną zwróciło na siebie uwagę. W ostatnich latach życia swego zainteresował się żywo międzynarodową i w wysokim stopniu aktualną kwestją: misyą pokoju wszechświatowego. W dziele swem „Przyszła wojna“ wykazał i uwydatnił dobitnie straszne następstwa wojny nowoczesnej.

Życie tego pracownika, tego wzorowego męża, ojca rodziny i obywatela przerwała śmierć nagła, śmierć przedwczesna zostawiając po nim długotrwałą pamięć.

Sp. Jan Bloch był teściem p. Józefa Kościelskiego z Miłosławia, członka pruskiej izby panów i profesora Kostaneckiego z Krakowa.

* * *

Sp. Eugenjusz Puffke-Lipnicki.

Dnia 8 bm. zmarł w Wiedniu jeden z najzdolniejszych publicystów polskich, ś. p. Eugenjusz Puffke-Lipnicki.

Zmarły urodził się w Lipnicy we W. Ks. Poznańskiem, a należał do znanej rodziny literackiej, która mianowicie w piśmiennictwie wielkopolskiem chlubnie zapisała swe imię. Matka jego, Emma Puffke, brat Kazimierz, siostry Walerya i Gabryela — wszyscy oni należeli lub należą jeszcze do cenionych publicystów i literatów polskich, wzbogacając bądź to powieściami i poezyami, bądź to artykułami pedagogicznej, politycznej i krytyczno-literackiej treści piśmiennictwo nasze.

Sp. Eugenjusz po ukończeniu gimnazyum studyował na wszechnicy berlińskiej i wrocławskiej historyę i literaturę polską, zasilając już jako student czasopisma warszawskie rozprawami historycznemi i korespondencyami politycznemi. Po ukończeniu studyów akademickich, napisał pod pseudonimem Lipnickiego, który odtąd stale przyłączał do nazwiska swego, pierwszą historyę literatury polskiej w języku niemieckim.

W kilka lat później powołano go na stanowisko redaktora naczelnego praskiej „Politik.“ Gdy jednak we Wiedniu powstał zamiar założenia wielkiego organu federalistów austryackich (partya katolicko-zachowawcza) śp. Eugenjusz Puffke stanął jako jeden z współzałożycieli do apelu i przez kilkanaście lat z rzędu pełnił obowiązki współredaktora „Vaterlandu“, zdobywając dla pisma tego jedno z najwybitniejszych stanowisk w czasopiśmiennictwie austryackiem.

Wystąpiwszy ze spółki wydawniczej objął stanowisko korespondenta paryskiego „Temps“, brukselskiej „Independance belge“ warszawskiego „Słowa“ i „Gazety warszawskiej.“ Równocześnie ogłaszał w „Bibliotece warszawskiej“ świetne artykuły polityczne i historyczno-literackie, które powszechną zwracały uwagę. Sp. Eugenjusz Puffke był obok Keniga jednym z najznakomitszych publicystów doby współczesnej. Odznaczał się niepospolitym zmysłem obserwacyjnym i doskonałą znajomością stosunków europejskich, posiadał zawsze informacye dokładne, a styl jego miał koloryt, jędrność i plastykę niepospolitą. O charakterze publicysty tego świadczy najwymowniej fakt, że na stanowisku redaktora praskiej „Politik“ i wiedeńskiego „Vaterlandu“ zawsze pozostał pisarzem polskim i czasopismami temi tak kierować umiał, że wróg najzawziętszy nie mógł mu zrobić zarzutu, jakoby służył wrogim społeczeństwu swemu dążeniom.

Swietny stylista, pisarz wielkiego talentu i głębokiej wiedzy, polityk bardzo ostrożny i bardzo wytrawny, a przytem charakter czysty i nieugięty — oto Eugeniusz Pufke.

Bratu nieboszczyka, Kazimierzowi w Warszawie i siostrze Waleryi, przełożonej zaszczytnie znanego zakładu Froeblowskiego w Poznaniu, przesyłamy wyrazy serdecznego współczucia.

Wiadomości.

— **Agentura** „Pracy“, „Górnoślązaka“ i „Czytelni Polskiej“ w Helbra, Mans.Seekr. znajduje się u p. *Sebastyana Oremeka* przy ul. Wilhelmstr. 4.

— **Sprostowanie.** Pan Kornobis z Zacharzewa pod Ostrowem nadesłał dnia 6-go grudnia r. z. na „Chleb św. Antoniego“ tylko 1 mrk., a nie 3 mrk., jak mylnie zamieściliśmy w n. 52-gim „Pracy“ z roku zeszłego.

Dotychczas złożono na ten cel razem 43 marki.

— **Przy spisie** majątków wielkopolskich, w powiecie zachodnio-poznańskim w nr. 43 „Pracy“ z roku zeszłego zaszła pomyłka, która teraz została spostrzeżoną, a którą w interesie *prawdy* sprostować należy. Po śmierci śp. Władysława Kąsinowskiego *nie* groziło *żadne* niebezpieczeństwo, ze strony komisyi kolonizacyjnej *majętności* Swadzimskiej. Ponieważ instytucya ta dokładnie była poinformowaną z bardzo wiarogodnego źródła, że spadkobiercy ze wstrętem i z największem oburzeniem odrzucili w tym samym czasie ofertę kilku innoplemieńców reflektujących na dobra Swadzimskie, i ofiarujących, jak na one czasy, stosunkowo, dosyć wysoką cenę, aby umożliwić nabycie tego pięknego majątku, zwanego perłą powiatu poznańskiego, w drodze działów, ś. p. pani Aleksandrze z Głogowskich Kąsinowskiej, porobili spadkobiercy wszelkie możliwe ustępstwa, z tem przekonaniem, że majątek ten *nie* wyjdzie *nigdy* z rąk polskich.

— **Zwracamy** baczną uwagę na ogłoszenie, dotyczące sprzedaży folwarku w okolicy Mogilna.

— **Dla gimnazyastów** wydalonych i zasądzonych nadesłali w dalszym ciągu: obywatele z Dębca 18 m. 70 f., zebrane w Domu Katolickim 3 m. 50 f.

Dotąd złożono na ten cel 172 m. 70 f.

— **Żnin**, 13 stycznia 1902. „Na odbudowanie wieży kościoła parafialnego w Żninie, słynącego cudownemi obrazami Pana Jezusa Cierpiącego i Matki Boskiej „Gankowskiej“ złożyli w dalszym ciągu: Walenty Kowalik z Jaroszewa 1 m., Maryanna Świtała 1 m., Kaźmierz Cielęcki 3 m., Jan Woźniak 50 fen., Józef Ertman z Sarbinowa 10 m., Unrug z Sielca 5 m., Franciszek Kałasa z Żnina 10 m., Franciszka Kościelecka 3 m., Fran. Blandzi z Karmina p. Pleszewem 1 m., Maryanna Słomkowska z Murczyna parafii Górskiej 1 m.

„Bóg zapłać“ za już, a proszę o jeszcze. Każdy ofiarodawca otrzyma na życzenie pieśń o Matce Boskiej żnińskiej zwanej „Gankowską.“

Wszelkie chociażby najmniejsze datki — także w znaczkach pocztowych — z wdzięcznością przyjmuje

X. Jasiński,
administrator parafii żnińskiej.

— **Wykłady** naukowe dla urzędników gospodarczych odbędą się w tym roku w dniach 18, 19 i 20 lutego, tj. we wtorek, środę i czwartek na starej sali w Bazarze.

Za nadesłaniem 3 mr. wpisowego na ręce sekretarza Zarządu p. K. Koszutskiego w Poznaniu, Półwiejska ul. 5 I, przesyła się odwrotną pocztą kartę wstępu z dokładnym planem wykładów. Pożądane są najwcześniejsze zgłoszenia, aby nie wykupywać kart dopiero w dniu wykładów. (Adresować należy: „Ziemianin — Posen.)

— **Pakość.** Staraniem tutejszego Tow. gimnastycznego „Sokół“ odbył się w mieście naszem w dniu 6-go b. m. teatr amatorski. Przedstawienie udało się świetnie, tak samo ćwiczenia druhów. Na przepełnionej publicznością sali rozlegały się ustawiczne brawa i oklaski.

— **Ślub.** W dniu 7 stycznia r. b. we wsi Choceniu, powiatu Włocławskiego w Kongresówce, w nowo wybudowanym kościołku parafialnym, powstałym wielkiem staraniem miejscowego proboszcza ks. Wł. Siemiaszko, a także z pomocą miejscowych parafian, odbył się ślub panny Haliny Szremowiczówny, córki śp. Wł. Szremowicza i Maryi z Ryszewskich Szremowiczowej, właścicielki majątku Ząbina z panem Teodorem Białeckim, synem profesora Józefa Białeckiego, i Heleny z Garczyńskich Białeckiej z Płocka. Obrzęd ten ślubny był pierwszym w nowozbudowanym kościołku, a odbył się uroczyście bardzo o godz. 5 wieczorem. Uroczystość ta podniesiona została łaskawą asystencyą kapłanów ks. Kasperkiewicza proboszcza z Grabowa i ks. dra Wilczyńskiego z Włocławka — Szczęść Boże młodej parze!

— **Mogilno.** Pan Józef Stark sprzedał i dał zaraz przewłaszczenie: Wilatowo Nr. 105 p. Ludwikowi Kwiatkowskiemu, Nr. 140 p. Ludwikowi Ostrowskiemu, Józefowo Nr. 13 i 46 p. Andrzejowi Kubasiakowi, Niestronno 74 Michałowi Żołnierkiewiczowi, 75 Andrzejowi Woźniakowi, 76 Michałowi Lewandowskiemu, Szczepankowo Nr. 9 Józefowi Kaczmarkowi, Palędzie dolne p. Bartłomiejowi Ciesielskiemu.

Wkrótce ogłosi p. Stark posiadłości, które ma do sprzedania. Jak tu na miejscu powiadają, ma Mogilno dostać załogę wojskową.

Ruch w Towarzystwach.

Towarzystwo Przemysłowców w Janówcu urządza dnia 26-go stycznia rb. teatr amatorski, połączony z zabawą na cel dobroczynny czyli na odbudowanie kościoła Jasnogórskiego, na którą jak najuprzejmiej zaprasza
Zarząd.

Teatr amatorski Tow. gimnastycznego „Sokół“ w Śremie odbędzie się w niedzielę, dnia 19-go stycznia 1902 r. na sali druha Świątkowskiego. Program: „Pomyłka pana Lambineta“, komedya w 1 akcie, prolog, deklamacye, oraz „Dwie teściowe“, komedya w 1 akcie z francuzkiego. Zakończą żywe obrazy. Początek punktualnie o godzinie $7^1/_2$. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. Mając cel dobroczynny na względzie, uprasza życzliwych o liczny udział
Wydział „Sokoła“.

Towarzystwo Młodych Przemysłowców w Stęszewie urządza przedstawienie amatorskie w niedzielę, dnia 19-go stycznia 1902. na sali p. Andrzeja Weychana, Stary Rynek, na cel dobroczynny. Odegraną będzie krotochwila p. t.: „Ulica nad Wisłą.“ Zakończy żywy obraz. Początek punktualnie o godz. $7^1/_2$ wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. O liczny udział uprasza uprzejmie
Zarząd.

W niedzielę dnia 19-go stycznia 1902 r. urządza Tow. św. Wincentego a Paulo w Ostrowie na sali pani Hofmańskiej wieczorek amatorski. Program bardzo obfity i urozmaicony. Początek o godz. $7^1/_2$. — Otwarcie kasy o godz. $6^3/_4$ wieczorem. Szanowną Publiczność z miasta i okolicy jak najuprzejmiej zaprasza
Zarząd.

Od Redakcyi.

Panu O. w Montowie. Pieniądze nadeszły; pokwitowanie alfabetycznie.

Panu M. S. w Strużaku p. Chełmżą. Udaj się Pan w tej sprawie do Banku parcelacyjnego w Poznaniu, Piekary 18.

Panu W. N. w Pakości. Poczta musi zamówienie przyjąć każdego czasu i podczas kwartału; *musi* także dostarczyć zaległe numera za opłatą 10 fen.

Tow. „Sobieski“ w Brandenburgii n H. W „Pracy“ jako w tygodniku zamieszczać możemy tylko jak najkrótsze i o ile możności jak najtreściwsze sprawozdania. Nadesłanego nam obszernego sprawozdania na razie dla braku miejsca zamieścić nie możemy.

Sokołowi w Herne. — Za współczucie dla dr. Rakowskiego i szczere życzenia dla „Pracy“ najserdeczniej dziękujemy.

Panu Józefowi Chmielewskiemu w Kaliszu. — Jeżeliś pan rower kupił 28 lutego 1899 roku, to reszta ceny kupna przedawniła się dnia 1 stycznia r. b. — Adwokaci w Poznaniu są: Głębocki, Cichowicz, Woliński, Trąmpczyński, dr. Dziembowski, dr. Celichowski, dr. Jankowiak, Chrzanowski, Rychłowski. Nowacki. (Bliższe adresy nie potrzebne).

00,1000. — W tej sprawie informacyą służyć nie możemy. Przyślij Pan za dwurazowe ogłoszenie 3 marki, a z pewnością osięgniesz Pan skutek, gdyż „kto w „Pracy“ nie anonsuje, sam sobie szkodzi.“

Panu Józefowi Dz. w Karstenhucie, G. S. — Obrazka wiadomego w kolorach nie posiadamy.

Panu Janowi Fl. w Kratzwieck. — Nr. 52 „Pracy“ wyszedł w zwykłym czasie jako ostatni na rok zeszły; miejscowa poczta musi go Panu dostawić. O kalendarzu ściennym pomyślimy.

Panu Fr. Ant... w Środzie. — Listu od szanownego Pana w wiadomej sprawie nie odebraliśmy, z pewnością zaginął

Panu Marjanowi P. w Byczynie. Artykułów Pańskich na razie odszukać nie możemy; może zaginęły z powodu tak licznych i częstych rewizyi.

— *Panu A. P. w Pile.* Najuprzejmiej dziękujemy za odbiór listu i za łaskawą pamięć.

Wykaz składek

na fundusz wrzesiński.

(Ciąg dalszy).

Altenessen w Nadrenii: Józef Gaertner z żoną 1 m., Wiktorya Paluszczak 20 f., Jan Leśniakowski z żoną 20 f., Fr. Paluszczak 1 m., Jan Banaszak 1,50 m., Kasper Florczak z żoną 50 f., Michał Andrzejak 50 f., Józef Morczyński z żoną 50 f., Jan Gruchalski 2 m., Mikołaj Kubica 30 f., Piotr Jantkowiak 1 m., żona 2 m., Jan Lorek z żoną 1 m., Walenty Lorek 1 m., Antoni Lorek 1 m., Ignacy Basty 1 m., Józef Howaniec 1 m., Władysław Michalski 30 f., Paweł Droba 30 f., Paweł Teuber 30 f., Roman Wachowiak 40 f., Szymon Grzegórski 50 f., Fr. Maćkowiak 50 f., Józef Maćkowiak 50 f., Józef Michalski 50 f., Szymon Szumski 30 f., Fr. Neumann 30 f., Marcin Grzelka 30 f., Fr. Polens I 50 f., Fr. Polens II 50 f., Andrzej Sójka 25 f., Fr. Blangiewicz 25 f., Stanisław Bryl 1 m., żona 50 f., Fr. Biernat 50 f., Józef Kramarczyk 1 m., Stan. Gruchalski 1 m., Ignący Borowczyk 50 f., Andrzej Wyzuj 1 m., Stan. Szczepaniak 50 f., Fr. Pazoła 50 f., Michał Pazoła 50 f., Fr. Piotrowski 50 f., Ludwig Giezek 50 f., Jan Maćkowiak 20 f., Paweł Mielcarek 50 f., Andrzej Kusza (żona) 20 f., Wojciech Lis z żoną 1 m., Ignacy Lis (syn) 1 m., Maksymiljan Kajewski 1 m.: Marcin Jankowski 50 f., Tomasz Jankowski 50 fen., Józef Małecki z żoną 1 m., Tomasz Małecki 50 f., Adam Lis z żoną 1 m., Wojciech Kusza z żoną 1 m., Fryderyk Gumpert z żoną 1 m., Wincenty Leonarczyk 1 m., Łukasz Leonarczyk z żoną 50 f., Michał Namyślak 50 fen., Piotr Fiołka 50 f., Fr. Widomski 50 f., Antoni Czekalski 50 f., Walenty Konieczny 50 f., Michał Wojciechowski 50 f., Roman Bergmannn 1 m., Andrzej Forszpaniak 50 f., Andrzej Jankowiak 1 m., Józef Wojtkowski 2 m., Jan Kościelski 1 m., Aleksander Makowski 50 f., Andrzej Jankowski 50 f., Stan. Janowski 1 m., Kasper Meinert 30 f., Ignacy Skorupiński 1 m., Roch Wawrzyniak 50 f., Jan Walkiewicz 3 m., Walenty Borowczyk 1 m., Józef Walkiewicz 1 m., Jan Michalski 1 m., Paweł Sobieralski 25 f., Paweł Pospiech 50 f., Ignacy Kupczyk 50 f., Jan Kupczyk 50 f., Andrzej Dominik 50 f., Maciej Małecki 50 f., Jan Błoch, mistrz krawiecki z Essen 1 m., Fran. Michalski 1 m., Jakób Damazyn 2 m., Walenty Nowak 1 m., Adam Stawicki 5,50 mk.

Anioła I pow. Kempno: Zalisz 1 m., Berta Werner 1 m., Marya Werner 1 m., Franciszka Buczek 50 f., Urszula Małolepsza 50 f., Marta Adamska 50 f., Paulina Adamska 50 f., Franciszka Siar 50 f., Maryanna Domagała 50 f., Marcyanna Domagała 50 f., Józefa Mikołajczyk 50 f., Joanna Zagwojska 50 f., Marcyanna Biniok 50 f., Kaźmierz Gwardzich 50 f., Roch Siwich 50 f., Jan Jarczowski 50 f., N. N. 35 f., La. 35 f., Franc. Domagała 30 f., Ant. Jarczowski 30 f., Maryanna Wełna 20 f., Usycka 20 f.

Annen Westfalia: Fr. Wiśniewski 5 m.

Bukownica (Wschowa): Bolesław Grzesiecki 3 m.

Bottrop Westf.: Za pośrednictwem p. Kocura złożyli:

I Szczotok 50 f., jego dzieci M. Szczotok 1 m., A. Szczotok 1 m., H. Szczotok 50 f., E. Szczotok 50 f., K. Rycman 2 m., L. Trzoska 1 m., L. Prus 1 m., E. Święty 1 m., I. Swoboda 5 m., E. Mitko 5 m., T. Miczek 50 f., I Krzyżok 50 f., I. Demel 1 m., A. Zimny 50 f., I. Nawrat 50 f., I. Bracha 50 f., E. Szebesta 50 f., E. Krzemyk 2 m., F. Szczepan 30 f., M. Kowalski 3 m., V. Marciniak 1 m., W. Nowak 1 m., A. Krzemyk 1 m., F. Tytko 1 m., I. Kłosok 1 m., F. Wardenga 1 m., A. Piekorz 50 f., A. Knura 1 m., I. Porwoł 50 f., I. Kałus 50 f., M. Basista 1 m., V. Krakowczyk 1 m., P. Sowa 1 m., E. Łukoszek 50 f., I. Szubert 50 f., I. Zaiczek 1 m., W. Ratajczak 50 f., I. Józefiak 2 m., I. Hain 2 m., W. Kuczynski 50 f., T. Dworzyński 50 f., I Święty 2 m., A. Bujok 50 f., R. Kubatko 50 f., I. Cedziwoda 1 m., E. Żydek 1 m., A. Wieczorek 1 m., P. Antonczyc 2 m., F. Zgol 1 m., E. Glenc 1 m,, I. Kęski 1 m., I. Wierzbica 50 f., S. Kozlik 2 m., F. Kałus 50 f., K. Kocur 3,50 m.

Budzanów (Galicya): Ks. Jan Turczański 3 m. 41 f.

Bogumin Ślązk austr.: Ant. Malejka 4 m. 70 f.

Broniewo: Pinski 2 m.

Berlin: Dr. Zieliński 20 m., Dołęga 3 m., L. W. Narożny 1 m., Fr. Häusler 3 m., St. Dratwińska 2 m., Ziołkowski 1 m. 50 f., Cabański 50 f., Janke 50 f., Igler 50 f., Tow. piekarzy polskich 12 m.

Bremena: Towarzystwo Polskie „Kościuszko“ przez p. Pasikowskiego 16 m.

Bilcze Złote (Galicya): I. Świętalski 2 kor.

Bydgoszcz: Za staraniem p. K. Sulerzyskiego złożyli pp.: J. Fischer 25 f., A. Baranowski 50 f., J. Urbański 30 f., A. Jakubowski 20 f., K. Sulerzyski 1 m., Wł. Junka 25 f., Morawski 10., Fr. Reinholc 50 f., A. Banach 50 f. Meraczyński 15 f., Dziekanowski 10 f., W. Dojaś 20 f., P. Kaczmarek 10 f., J. Szatkowski 50 f., A. Kiełpiński 20 f., Wł. Łuczkowski 20 f., Pagacz 15 fen., Szpakowski 15 f., Pałaszewski 50 f., Kółko po wieczorku Mickiewicza 4,20 m. Wesołowski 1 m., Ziółkowski 25 f., Kończewicz 20 f., Radzimski 20 f., Tomczak 10 f., Belinski 10 f., Wierzchucki 30 fen., Świtek 10 f., Kwiatkowski 10 f. F. Jagła 1 m., Jakub Całbecki 25 fen., A. Kozłowski 50 f., Deranek 10 f., Margański 10 f., Jagodziński 10 f., Gordon 50 f., J. Fac 50 f., Jan Głowiński 50 f., Kawka 50 f., Kwasigroch 50 f., Gęsicki 20 f., Kiełpiński 50 f., Jan Milchert 25 fen., Żółtowski 50 fen., N. N. 10 f. Nawrocki 5 f., Stürmer 10 f., Sikorski 10 f., Marchlewski 50 f., Józef Milchert 2 m., M. Latos 50 f., Magulewski 10 f., L. Januszewski 2 m., Berkowski 50 f., J. Janowski 50 f., M. Dytrych 30 fen., Kluczkowski 10 f., J. Nawrocki 10 f., N. N. 50 f., Fonrobert 50 f., S. N. 30 f., Mielcarski 1 m., Głowacki 25 f., Fr. Ziętak 2 m. Konrad Tack (Niemiec) 15 f., Gołata 60 fen., Wiese 50 f., N. N. 50 fenygów. Paweł Rosiński 10 m., Jan Niezgodzki 3 m., Teodor Demakowski 1 m., Młodzież Polska 12 m. 5 f., J. Grützmacher 1 m., W. P. 3 m., Mieczek Grützmacher 15 f., J. i W. Boreccy 2 m. 5 f., S. Wichłacz 1 m., Jan Wiśniewski 3 m., Walenty Olewinski 2 m.

Burowiec (Górno Ślązk): K. Thocz, J Thocz i Jan Wilkosiński 3 m.,

Buk: Państwo Rajewicz 3 m.

Bytom G. Ś.: Za pośrednictwem p. Leona Małaszek złożyli:

Leon Małuszek 1 m., Paweł Finas 1 m., Józefat Krzyżanowski 1 m., S. Mańczak 1 m., Leon Kałwiński 1 m., W. Zaremba 1., Czabajski 1 m., Lange 50 f., Ryszard Harazim 1 m., W. Stroinski 1 m., Fr. Szymański 1 m.. M. Demarczyk 1 m., Ludwik Nijakowski 1 m., Podskarbi 50 f., Wróblewski 1 m., Walczak 1 m., Urbański 1 m., bracia Gwoździowie 50 f., Albin Wróblewski 1 mk.

Bochnia (Galicya) Marya Bittner 12 m. 9 f.

Blumenthal (Hanower): Stanisław Wałdowski 2 m., Józef Kostrzewa 1 m., Wojciech Kostrzewa 1 m., Stanisław Kostrzewa 1 m., Wojciech Pawłowski 1 m., Michał Mądry 50 f.

Bendzin (Król. Polskie): Misieński 14 rubl.

Bernburg: I. Spychalski 50 f., F. Gużek 50 f., A. Dzondzak 50 f., K. Własny 50 f., K. Korzuch 50 f., M. Krawczyk 50 f., I. Szymański 50 f., W. Szymański 25 f, Fr. Galykowski 50 f., Fr. Bąkowski 50 f., F. Andrejarczyk 50 f., I. Domagała 1 m., Czarnowski 1 m.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Bojaźliwy.

— Czego płaczesz, Józiu?

— Ja się tak boję, mamo! Prosiłem ojca, żeby mi kupił welocyped, a ojciec się rozgniewał i powiedział, żeby mi się nawet nie śniło. Co ja zrobię teraz, jeśli mi się welocyped przyśni?

Słowa uznania.

Ojciec. — I znów przyniosłeś złe świadectwo!... No, miejmy nadzieję, że następne będzie lepsze.

Synek (ośmioletni). — Brawo, tatusiu! To lubię; nigdy nie trzeba tracić otuchy!

*

Między sąsiadami.

— Ta Szymonowa nie może utrzymać języka za zębami.

— Ba! — bo ona już nie ma zębów tylko pniaki.

W sądzie.

Sędzia: — Jak się pan nazywasz?

Oskarżony: — Woj... woj... woj... ciech Ją... ją... ją... kała.

Sędzia: — Czy pan się tak zawsze jąkasz?

Oskarżony: — Nie... nie... nie zawsze.

Sędzia: — A tylko kiedy?

Oskarżony: — Tyl... tyl... tylko wtedy, kie... kie... kiedy mówię.

Najszczęśliwszy.

Szczęśliwy ten, co się nie nudzi,
Co rączo mknie przez życia fale,
Lecz najszczęśliwszy pono z ludzi,
Ten co się *nie urodził* wcale.

Namiętność jest zawsze cierpieniem — nawet zadowolona.

Ze wsi.

— O jej!... mój pociąg idzie... spóźnimy się do stacyi.

— Niech się pan nie boi, ten, pociąg zawzdy wozi bydło, to jesce zdążymy.

— Czy twój przyjaciel, Leopold, nie był ubezpieczony w towarzystwie, które zbankrutowało wczoraj?

— Owszem, ale umarł na tydzień przed ogłoszeniem baukructwa.

— A to dopiero! trzeba mieć jego szczęście!

By osiągnąć obrót wielki, dla tego sprzedaję taniej, niż niejedne fabryki.

Hurtownia! Cennik, blizko 500 illustracyi, wysełam darmo i franko. **Detalicznie!**

Fachowy dom wysyłkowy i warsztat reparacyjny.

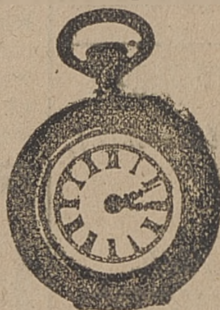
464

M. DANECKI,

Miejska Górka (Görchen Prov. Posen).

Za każdy zegarek daję na **5 lat** piśmienną gwarancyą. Dowodem taniej rzetelnej sprzedaży są liczne zamówienia, uznania i podziękowania, jakie codziennie nawet z najdalszych stron odbieram. Wymiana dozwolona. Zegarki moje można też nabyć w składzie i p. **Romana Tilgnera** w Pleszewie (Pleschen).









Kolczyki złote 9 marek 8 karat. 333 stempel

Srebrny męzki remont. syl., złocone wskazówki i brzegi, silny w srebrze i werku na 6 kam., 9 m. Znacznie lepszy 10,25 mr. Niklowy zegarek mr. 5,50.

Złoty 8 karat. damski zegareczek już po 15,00 mk, Zupełnie ten sam jak podany 22 mk. **Srebrny damski 11 mk.**

Kolczyki modne płaskie kreole, złote, 338 stemp. 8 karat. 9 marek za parę.



Kolczyki złote 14 karat. 585 stempel za parę 5,00 mk.

Ryzyka nie ma żadnego, bo to, coby się podobać nie miało, lub nieodpowiednie było chętnie na inne wymieniam a na życzenie pieniądze zwracam.

Upraszamy przekonać się!



Wielki złoty medal.



Kraków 1900.

Upraszamy spróbować!

Wiślankę

najsmaczniejszą nalewkę owocową i

Botanik

najwyborniejszy likwor żołądkowy poleca

Fabryka likworów

Marczyński & Klóskowski,

Poznań, ul. Berlińsa 15. Telefon Nr. 636.

Wyroby powyższe równają się najdroższym fabrykatom francuskim i są w wszystkich plakatami oznaczonych miejscach do dostania w butelkach 1 ltr. à 2 mk., ½ lt. à 1,25 mk. 767

Łazienki i zakład wodoleczniczy

Poznań, Rycerska 15.

Kąpiele zwykłe w wannach. Kąpiele z dodatkami leczniczemi wszelkiego rodzaju. Kąpiele z kwasem węglowym. Kąpiele piaskowe. Kąpiele parowe. Kąpiele rzymsko-iryjskie. Zabiegi wodolecznicze, tusze: zimne, ciepłe, szkockie, **parowe,** wydzielane **nowo sprowadzonym przyrządem,** systemu Profesora Winternitza.

Kąpiele elektryczne świetlane podług najnowszego systemu, Kąpiele ze światłem żarowem lub łukowem, opromienienia miejscowe, kąpiele częściowe świetlane: na tułow, na rękę lub nogę. 463

Karność.

— Podoficer: — Dziś rano kichnąłeś przy mustrze, potem kichnął i pan porucznik. Pamiętaj na przyszłość zawsze kichnąć po panu poruczniku, nigdy przedtem!

Antoni Markiewicz, Kostrzyn,

malarz i dekorator,

poleca swój bogato zaopatrzony

skład tapet i obić.

Farby pokosty, pendzle, lakiery, oliwę do maszyn po bardzo niskich cenach. 1

Dla czego cierpimy?

mając pewne i nigdy niezawodne, niejednokrotnie wypróbowane środki przeciw wszelkim, a nawet zastarzałym chorobom, ranom, niedomaganiom itp. itp. i jako to wewnętrznie:

1. Na **apetyt,** pepsinowe wino, wzmacniające żołądek, but. po 2,00 i 3,00 mk.

2. na **apetyt,** alpejskie ziółka, i czyszczące zarazem krew, paczka 50 fen.

3. na **biegunkę** u dzieci, klejek, bardzo dobry i winko na wzmocnienie razem 2 mk.

4. na **blednicę,** pepton żelazny 2,00 mk. i pigułki żelazne, cudowny środek zarazem przeciwko początkom suchot pud. 2,00 mk.

5. na **kaszel,** przestarzały hamburska herbata piersiowa i krople razem 2,00 mk.

6. na **kaszel i chrypkę** u dzieci, koperkowy miód but. 1,00 i 50 fen.

7. na **koklusz u dzieci,** miód zaprawiony extraktem, bardzo dobre but. 2,00 mk. i 1,00 mk.

8. na **otyłość,** pigułki karlsbadzkie, pobudzające łatwe trawienie pud. 2,00 mk.

9. na **wzmocnienie ogólne,** Haematogena, dla rekonwascentów, dzieci słabowitych, suchotników itp. but. 2,50 mk.

10. na **uregulowanie żołądka,** rumbarbardowe wino, łagodny i przyjemny środek rozwalniający but. 2,00 mk.

11. na **zgagę** i palenie w żołądku, proszek pobudzający zarazem trawienie pud. 1,00 mk. poleca apteka

H. Smyczyńskiego w Nowem.

(Neuenburg Wpr.) 776

Zamówienia pocztowe wysełam odwrotnie, od 5-ciu mk. franko.

Świece ołtarzowe i gromniczne

białe i żółte tylko z czystego wosku pszczelnego wyrabiane, poleca

M. Sobecki.

Fabryka wyrobów woskowych i bielnik wosku założ. r. 1842

Poznań, Szeroka ul. 24.

Adres: M. Sobecki (Poznań) Posen. 3

Patenty na wynalazki

wyjednywa i sprzedaje we wszystkich krajach 622

Inżynier K. Ossowski,

Międzynarodowe Biuro Patentowe,

w Berlinie W., Potsdamerstrasse 3.

Spółka Stolarska

Poznań, Jezuicka ulica nr. 5,

gmach pogimnazyalny

poleca

MEBLE

skromne i wykwintne doborowej jakości,

po nizkich cenach.

Stósowne podarki gwiazdkowe.

345 Cenniki odwrotnie i franko.

Gabinet dentystyczny

J. Gulińskiej

Poznań, ul. Berlińska 19

(nad Schneidrem). 25

Plomby, zęby sztuczne i t. d.

Robota pierwszorzędna pod gwarancyą. Ceny umiark.

Korzystne dla rodaków!

Pierwsza Poznańska parowa fabryka eterycznych olejków, essencyi i nietrujących farb.

Marjan Domagalski,

Poznań-Rataje

poleca swe znakomite wyroby do fabrykacyi wódek, likworów i wód mineralnych.

Wódki i likwory fabrykowane z mych produktów nie ustępują co do dobroci żadnemu fabrykatowi pierwszorzędnych zakładów destylatorskich. 895

Recepta darmo!

Cenniki franco. — Usługa rzetelna.

Zdolnych zastępców poszukuje wszędzie.

W mieście garnizonowem, liczącem 6000 mieszkańców przeważnie Polaków z bogatą okolicą, **jest na sprzedaż** dobrze prosperujący (38)

handel żelaza

w połączeniu z handlem węgli, materyałów budowlanych i artykułów nawozowych pod bardzo korzystnemi warunkami. O oferty uprasza się pod lit. I. P. 1902 do eksp. „Pracy".